

899 III / 1998

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 1(5) 98 ROK III
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

1998

1-25



- **Drukarnia dziecięta**
- **Ksiądz Kazimierz Michalski**
- **Wspomnienia i relacje**
- **Kancelarie notarialne**
- **Harcerska opowieść**

Ulica Fabryczna

moje oczy
jedyne ciche instrumenty
nie wypatrują już ogrodów prowansji
tu tylko domy z betonu
puszczają na młyńskie koło doby
żałosną jeremiadę
listopadowy dziadek wygięty w paragraf
wspiera się na parapecie okna gdzie gołębie
zapadają w sen o garści skruszonego ciasta
niebo paruje ołowiem kominów
deszcz pomarszczył ulicę po której
matka kuraż z piwoniami na policzkach
pcha wózek łupów podwórkowych śmietniczek
wczesnym popołudniem usiadzie w barze
smakując codzienne danie gulasz wędrownika



il. Stanisław Para



Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia
Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska,
L. Krutulski-Krechowicz (fotograf)
Wiesław Nodzyński,
Tomasz Nodzyński,
Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz - Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:

Heroldia P.R.

Korekta:

Grażyna Karpińska

Okładka:

Zielonogórski „Grzybek”
Repr. Leszek Krutulski-Krechowicz

Druk:

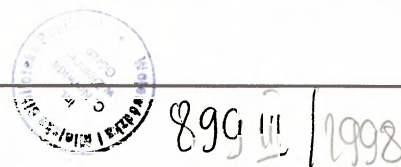
Drukarnia „EURODRUK”
Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam
redakcja nie odpowiada.

Od redakcji

Pierwszy numer kwartalnika „Pionierzy” ukazał się w listopadzie 1996 roku. Jak się orientujemy, jest on już poszukiwany... Oddajemy w ręce naszych Czytelników kolejny numer 5/98 ze świadomością, że we wszystkich poprzednich odnotowaliśmy sporą sumę wiedzy na temat indywidualnych losów ludzi, którzy kiedyś przyjechali do Zielonej Góry po raz pierwszy. Zapisaliśmy też od nowa, często także po raz pierwszy, wiele szczegółów z najnowszej, powojennej historii miasta. Kontynuujemy dotychczasową linię programową pisma.

Grzegorz Chmielewski przypomina dzieje pierwszej drukarni dziełowej w Zielonej Górze, która m.in. za sprawą A. Bogaczyka drukowała już w 1946 r. fundamentalne dzieło wybitnego polskiego historyka prof. Józefa Kostrzewskiego – „Prasłowiańszczyzna”. Tadeusz Dzwonkowski pisze o pierwszej po wojnie w Zielonej Górze polskiej parafii rzymsko-katolickiej i jej pierwszym proboszczu ks. Kazimierzu Michalskim. Zdzisława Kraśko przedstawia mało znane i niełatwe dzieje swego ojca, muzykologa i kompozytora dra Romana Mazurkiewicza, który jest m.in. autorem granego do dzisiaj z wieży zielonogórskiego ratusza hejnału miasta. Większość pionierów Zielonej Góry pochodzi ze Wschodu. Wiktor Tadeusz przyjechał do Zielonej Góry z Janowca Wielkopolskiego. Opowiedział Wiesławowi Nodzyńskiemu o swej działalności w ZHP i Szarych Szeregach w czasie okupacji w Warthegau. To dziwne, że nikt dotychczas nie opisał dziejów zielonogórskiej palestry. Zbigniew Bujkiewicz omawia dzieje pierwszych kancelarii notarialnych w Zielonej Górze. Jedna z zielonogórskich ulic niedawno miała nazywać się Kocia. Wiesław Myszkiewicz omawia zmienne koleje losów ich nazw. Jadwiga Kolibabka urzeczona „Polesia czarem” wraca do wspomnień swej młodości w Pińsku i postuluje powołanie do życia w Zielonej Górze Stowarzyszenia Poleszuchów. Jan Muszyński, przypominając sylwetkę znanej kiedyś w mieście postaci, niestety już nieżyjącej mgr Krystyny Klęsk, apeluje do niej... ale to trzeba przeczytać! To daleko nie cała treść tego numeru, ilustrowanego zdjęciami L. Krutulskiego Krechowicza. Zachęcamy do jego lektury!



PAŃSTWOWE ZAKŁADY GRAFICZNE W ZIELONEJ GÓRZE JAKO DRUKARNIA DZIEŁOWA w latach 1945-1948

W końcu maja 1945 r. przyjechał do Zielonej Góry Alfons Bogaczyk, pionier zielonogórskiego drukarstwa i księgarstwa. Miał 40 lat, ukończoną trzyletnią szkołę handlową oraz wieloletnią praktykę w niewielkiej, „rodzinnej” drukarni i księgarni nakładowej ojca Jana, tłoczącego w Lesznie druki dewocyjne. Podjął pracę w grupie operacyjnej Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i – jako syn drukarza – zajął się ewidencjonowaniem znajdujących się w mieście zakładów graficznych i zabezpieczeniem ich wyposażenia. Było ich wówczas, jak sam wspomina, sześć. Jeden, przy ul. Mariackiej, zdemontowano i przewieziono do Warszawy, trzy dalsze (o czym już – zapewne ze względów cenzuralnych – nie wspomina) wywieziono najprawdopodobniej poza wschodnią granicę Polski. Dwa pozostałe przyjęły w 1946 r. nazwę Państwowych Zakładów Graficznych w Zielonej Górze.

Pierwszy, przy pl. Lenina 12-15 (obecnie pl. Pocztowy), posiadał 6 linotypów, 4 maszyny płaskie, maszynę rotacyjną 4-stronicową, 4 maszyny dociskowe, krągłą i płaską stereotypię, 75 drewnianych regałów z czcionkami różnego kroju i stopni (jednak bez czcionek polskiego alfabetu), ponadto stemplarnię i introligatornię. Drugi, przy ul. Reja, zaopatrzony był w 3 maszyny offsetowe i wyposażony w niezbędne urządzenia do druku.

A. Bogaczyk podjął pracę w zakładach w początkach czerwca, a 22 tegoż miesiąca objął obowiązki ich dyrektora. Przy pomocy elektryka Feliksa Kubali oraz pozostałych niemieckich pracowników uruchomił drukarnię i już w czerwcu 1945 r. zakłady opuścił pierwszy polski druk wytłoczony w Zielonej Górze. Było nim obwieszczenie pełnomocnika KERM wzywające polskich osadników do zabezpieczenia opuszczonych fabryk, warsztatów, sklepów i innych przedsiębiorstw przed kradzieżą i dewastacją oraz ich bezzwłocznego uruchamiania. 5 lipca 1945 r. PZG przejęte zostały przez Centralny Zarząd Przemysłu Poligraficznego, który wkrótce uzupełnił kaszy zakładowe o zestawy polskich czcionek.

Stopniowo formowała się polska załoga zakładów. 28 czerwca zgłosił się do pracy Jan Smerda, składacz linotypowy, 7 lipca Marian Wtorkowski, maszynista typograficzny, następnie Zbigniew Kramer, składacz linotypowy, oraz Józef Bąk, który uruchomił ostatnią maszynę typograficzną, czego nikt inny nie potrafił zrobić.

W dalszej kolejności podjęli pracę pomocnicy drukarzy i introligatorzy: Jan Banaszak, A. Koszykowski, Stefania Nowak, Łucja Dąbska, Jadwiga Drzewiecka i Krystyna Różańska, późniejsza kierowniczka introligatorni. We wrześniu 1946 r. przystąpił do pracy Jan Taranowski, maszynista typograficzny, świetny fachowiec, który znajomością zawodu imponował również kilku pozostałym, pracującym od wielu lat w drukarni Niemcom. Z czasem J. Taranowski objął obowiązki kierownika wydziału maszyn, a w 1953 r. awansował na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw technicznych.

Z ciekawszych druków ulotnych, jakie opuściły zakłady w 1945 r., należy wymienić obwieszczenie wzywające mieszkańców do wywieszenia w dniach 22 i 23 września sztandarów narodowych w związku z zapowiadającym przyjazdem przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej z okazji uroczystości winobrania. Być może wzmianka o wydrukowaniu tego obwieszczenia przekona niedowiarków, że istotnie już w 1945 r. zielonogórzanie zorganizowali winobraniowe święto. Wspierając potrzeby oświaty, zakłady wydrukowały nieodpłatnie „cegiełkę” wartości 20 zł na rzecz miejscowych szkół, z datą zbiórki – 14 października 1945 r. – oraz widokiem ratusza i ul. Pod Filarami. Ofiarodawcy umieszczali „cegiełki” w witrynach sklepów oraz w oknach mieszkań. Zebrane fundusze umożliwiły wyposażenie w ławki szkół podstawowych przy pl. Słowiańskim i ul. Długiej.

W listopadzie 1945 r. ukazał się, firmowany przez Zakłady Graficzne, „Informator m. Zielonej Góry”, zawierający spis alfabetyczny ulic, adresy instytucji państwowych, samorządowych, społecznych, jak również firm handlowych, rzemieślników i przedstawicieli innych zawodów, a ponadto 24 strony inseratów (ogłoszeń). Inicjatorem publikacji był A. Bogaczyk, niewątpliwie również jej redaktor. Wraz z informatorem, liczącym (łącznie z inseratami) 99 s. małego formatu, wydano plan miasta, pierwszy po wojnie z polskimi nazwami ulic.

Do podstawowych zadań, jakie zielonogórskim zakładom wyznaczył Bronisław Gajewski, dyrektor Okręgu Poznańskiego CZPP, należało drukowanie książek, a w dalszej kolejności akcydensu w formie afiszy, obwieszczeń, zaproszeń i innych w technice typograficznej, a w drukarni przy ul. Reja – etykiet kolorowych (m.in. dla wytwórni win i wódek) techniką offsetową.

W celu sprawnej realizacji tych zadań, w 1946 r. dokonano reorganizacji drukarni przy pl. Lenina, która mieściła się w rozbudowanym jeszcze przez Niemców budynku. W jego starszej części ulokowano pomieszczenia dyrektora i administracji, natomiast w nowej – maszynownię typograficzną na parterze; zecernię, maszynownię i stereotypię na I piętrze. Po zlikwidowaniu mieszkania służbowego, na II piętrze umieszczono introligatornię, która początkowo znajdowała się na parterze.

Poszukując poważnych zamówień dla drukarni dziełowej, A. Bogaczyk odwiedził Poznań, gdzie uzyskał zlecenia od prof. Józefa Kostrzewskiego na druk pracy tego uczonego „Prasłowiańszczyzna” oraz pisma „Z otchłani wieków”. Ponadto nawiązał kontakt z Poznańską Spółdzielnią Wydawniczą, która przekazała do druku zielonogórskim zakładom pierwsze dwa zeszyty wychodzącej jej nakładem serii „Literatura Polska XIX i XX Wieku w Komentarzach”.

„Prasłowiańszczyzna”, wydana nakładem Księgarni Akademickiej w Poznaniu, była pierwszodrukiem rękopisu przy-

gotowanego przez prof. J. Kostrzewskiego w czasie okupacji. Trzeba przyznać, że zielonogórskie PZG bardzo dobrze wywiązały się z trudnego zadania, jakim był druk tej pracy. Książka, ilustrowana 68 rysunkami i zdjęciami, prezentuje wysoki poziom sztuki poligraficznej. Również druk miesięcznika „Z otchłani wieków” nie nastręczył większych trudności zielonogórskim mistrzom „czarnej sztuki”. W 1946 r. z pras drukarskich PZG wyszło 12 (skomasyowanych) numerów pisma, a kolejne w latach następnych.

Na dwa pierwsze zeszyty serii „Literatura Polska XIX i XX Wieku w Komentarzach” złożyły się utwory: A. Mickiewicza „Konrad Wallenrod” i S. Wyspiańskiego „Wesele”, w opracowaniu poznańskiego polonisty, dr. C. Latawca, wydane z myślą o młodzieży szkół średnich. W 1946 r. PZG wydrukowały ponadto dla Poznańskiej Spółki Wydawniczej: M. Krawczyka „Wzory matematyczne”, T. Egiejmana „Chemię organiczną” i S. Tynca „Ćwiczenia słownikowe w szkole podstawowej”. Zrealizowano również zamówienie księży pallotynów z Poznania na druk książeczki „Madonna z Fatimy”. Spośród wymienionych pozycji pięć, to niewielkie 3-5-arkuszowe druki, a jedynie prace J. Kostrzewskiego i S. Tynca były wydawnictwami obszerniejszymi, liczyły 10 i 8 arkuszy.

W 1946 r. PZG skompletowały już w całości załogę, która liczyła 60 pracowników: drukarzy, introligatorów i zatrudnionych w administracji. Z końcem sierpnia tego roku przestał pracować A. Bogaczyk, a stanowisko po nim objął dyr. Marian Adamski, którego zastępcą do spraw technicznych został Bronisław Gajewski.

W 1947 r. zakłady rozwinęły produkcję na szerszą skalę. Zakończono druk szesnastu zeszytów (nr 3-18) serii „Literatura Polska XIX i XX Wieku w Komentarzach”, obejmujących analizy utworów A. Mickiewicza, J. Słowackiego, B. Prusa, E. Orzeszkowej, J.I. Kraszewskiego, H. Sienkiewicza, S. Wyspiańskiego, S. Żeromskiego i M. Rodziewiczówny. Ponadto dla Poznańskiej Spółki Wydawniczej wytłoczono trzy podręczniki: H. Rutkowskiego „Krótki zarys historii starożytnej”, I. Sikorskiej „Krótki zarys historii średniowiecznej” i S. Bieniewskiego „Historia literatury polskiej w zarysie”, a także prof. K. Jonschera „Higienę i żywienie niemowląt” i R. Zimmermanna „Modulowanie częstotliwości”. Dla Wydawnictwa Księża Pallotynów wydrukowano natomiast powieści: S. Paławskiego – „Kłopoty figlarza” i „Irusia” oraz J. Spillmana – „Tajemnica spowiedzi”.

Pozyskano do współpracy nowych zleceniodawców, m.in. Wydawnictwo Zachodnie. W zestawie tytułów drukowanych dla WZ znalazły się: W. Grabskiego „200 miast wraca do Polski. Informator historyczny” (zawierający również szkice dziejów Zielonej Góry), G. Labudy „Wielkie Pomorze w dziejach Polski”, M. Rybickiego „Polityka germanizacyjna Fryderyka II na zachodnich ziemiach Polski”, W. Supińskiego „Od Westerplatte do Hiroszimy. Zarys historii 2. wojny światowej”, L. Gustowskiego „Szczecin. Fakty i liczby” oraz powieści A. Kawczyńskiego „Damcemora” i L. Sieciechowiczowej „Tęcza nad Wagiem”. Do nowych wydawców należały również: Księgarnia W. Wilaka w Poznaniu (zleciła druk 2 książek) oraz Albertinum-Księgarnia św. Wojciecha i Księgarnia Nakładowa S. i J. Bogaczyków w Lesznie, które powierzyły zakładom druk pojedynczych książek.

Wśród wydawnictw, które wyszły spod pras zielonogórskich zakładów w 1948 r. zwracają uwagę podręczniki akademickie znanych uczonych oraz wielotomowe opracowania w formie poradników zawodowych. Do pierwszych należy K. Simma „Zoologia dla przyrodników i rolników”, podręcznik ilustrowany ponad 770 rycinami, wydany z inicjatywy Naczelnego Inspektoratu Przemysłu Włókienniczego w Łodzi. Obszernym opracowaniem zbiorowym jest również liczące ponad 700 stron i 275 rycin „Położnictwo i choroby kobiece”, którego druk zleciła Spółdzielnia Wydawnicza „Malta” w Katowicach. Kontynuowano druk książek dotyczących księgowości, zleconych przez W. Wilaka, oraz powieści ukazujących się m.in. nakładem Poznańskiej Spółki Wydawniczej.

Wśród powieści zwraca zwłaszcza uwagę wydrukowana dla Eugeniusza Kuthana, warszawskiego księgarza i nakładcy, powieść Hermana Melville’a „Bestia Morska”. Jest to wznowienie pierwszodruku tłumaczenia J. Sujkowskiej słynnej powieści amerykańskiego prozaika, znanej pod tytułem „Moby Dick”, czyli „Biały Wieloryb”. Pod tym właśnie tytułem ukazało się w 1954 r. tłumaczenie powieści dokonane przez znakomitego tłumacza, Bronisława Zielińskiego. Rok 1954 występuje powszechnie w leksykonach jako data pierwszodruku polskiego tłumaczenia „Moby Dicka”, co nie odpowiada, jak się okazuje, prawdzie. Pierwsze polskie wydanie powieści ukazało się bowiem już w 1929 r. w Warszawie (seria „Biblioteka Groszowa”). Jej powojenne wznowienie opublikował jako pierwszy w 1948 r. E. Kuthan, a wydrukowały, jak wynika z naszego zestawienia, zielonogórskie PZG.

Na tym kończy się działalność zielonogórskich PZG jako zakładów dziełowych. W 1949 r. zakłady zakończyły druk 2. tomu „Zoologii” K. Simma i – podporządkowując się decyzji dyrekcji Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego – zmieniły produkcję. Odtąd PZG w Zielonej Górze stały się na wiele lat drukarnią specjalną, produkującą przede wszystkim druki książkowe (dzienniki i karty kontowe).

Jako drukarnia dziełowa PZG wytłoczyła w pierwszych latach (1945-1948) swej działalności 54 tytuły, w tym 1 w trzech wydaniach, łącznie 65 woluminów. Ogółem produkcja dziełowa osiągnęła 947 arkuszy drukarskich.

Książki drukowane w Zielonej Górze odznaczały się starannym wykonaniem, a PZG otrzymały od wydawnictw liczne pisma z wyrazami uznania i podziękowaniami. W 1947 r. dyrekcja Zjednoczenia Przemysłu Poligraficznego, w uznaniu dla wysokich kwalifikacji zawodowych załogi, podporządkowała zielonogórskim PZG drukarnie terenowe w Nowej Soli, Koźuchowie, Szprotawie, Żaganiu, Żarach, Lubsku, Gubinie, Świebodzinie i Sulechowie.

Grzegorz Chmielewski

Bibliografia:

A. Bogaczyk: W służbie polskiego słowa. W: Mój dom nad Odrą. Zielona Góra 1971, s. 210-236; J. Taranowski: Minęło 40 lat (wspomnienia). W: 40 lat Zielonogórskich Zakładów Graficznych. Zielona Góra 1985, s. 25-34; Przewodnik Bibliograficzny 1944-1949; S. Helsztyński: H. Melville: „Bestia Morska” (Moby Dick). W: Tenże: Ave Roosevelt. Warszawa 1949, s. 198-201.

1 sierpnia 1945 r. zielonogórski Urząd Mieszkaniowy zameldował 2 670 Polaków, miesiąc później – 5 669. Ogromna większość z nich była katolikami. W połowie września 1945 r. w Zielonej Górze mieszkało już dwa razy więcej katolików niż przed wybuchem II wojny światowej.

Tadeusz Dzwonkowski

Ksiądz Kazimierz Michalski

Podobnie jak przed wojną proboszczem parafii katolickiej pozostawał nadal ks. Georg Gottwald. Na plebanii zamieszkiwał razem z nim ks. Schubert, który do lutego 1945 r. był proboszczem parafii w Milsku. W miarę swych możliwości księża spełniali nadal posługę duszpasterską. Celebrowali wspólne nabożeństwa dla tych Niemców, którzy jeszcze zamieszkiwali w Zielonej Górze i dla Polaków, których liczba szybko się zwiększała. Niezależnie od narodowości, towarzyszyli zmarłym w ostatniej drodze życia i opiekowali się majątkiem kościelnym. Ponieważ ks. Gottwald nie znał dostatecznie języka polskiego, w czasie niedzielnych mszy św. Ewangelie czytał pierwszy polski burmistrz, którym był Tomasz Sobkowiak. Doskonała znajomość niemieckiego umożliwiała mu kontakty z Niemcami. Często zdarzało się, że po nabożeństwach ogłaszał również komunikaty miejscowych władz, nierzadko w obu językach.

Jednakże w miarę napływu ludności polskiej brak polskiego kapłana stawał się coraz bardziej dotkliwy. Dlatego też chętnie korzystano z pomocy księży, którzy czasowo zamieszkaali w Zielonej Górze. Wiemy, że było ich co najmniej dwóch, podający się za oblata ks. Gołąbek i augustinianin ks. Wasilewski. Ten ostatni przybył w sierpniu i najprawdopodobniej już we wrześniu opuścił miasto. Praktyczną działalność polskiej parafii rozpoczęło już w połowie sierpnia. 18 lipca 1945 r. urodził się w Zielonej Górze pierwszy polski obywatel, Tadeusz Piłat. Uroczystości chrztu, którą zorganizowano 15 sierpnia 1945 r., nadano szczególny charakter. Miała ona symbolizować rozpoczęcie życia. Honorowym ojcem chrzestnym pierwszego zielonogórzanina był wojewoda poznański.

Tymczasem do 2 sierpnia brak było jednoznacznego określenia przez zwycięską koalicję statusu prawnego Ziemi Zachodnich. Dopiero jego regulacja w umowie poczdamskiej pozwoliła na rozpoczęcie działań zmierzających do organizacji administracji kościelnej. Dlatego też dopiero 15 sierpnia 1945 r. ks. kardynał August Hlond, ówczesny prymas Polski, na podstawie upoważnienia Stolicy Apostolskiej ustanowił Administrację Apostolską Kamieńską, Lubuską i Prałaturę Pilską. Ten akt pozwolił na stopniową organizację parafii na Ziemiach Zachodnich, w tym także w Zielonej Górze. Kolejnym problemem, który należało rozwiązać, był brak kapłanów na tyle doświadczonych, aby mogliby objąć obowiązki proboszczów.

Jednakże władze polityczne odmówiły kontaktów z mianowanym właśnie 15 sierpnia ks. administratorem dr. Edmundem Nowickim i 12 września 1945 r. zerwały konkordat. Brak dogórnych regulacji utrudnił księżom kontakty z przedstawicielami rządu w terenie. Dopiero częściowa zmiana stanowiska władz na początku października pozwoliła na swobodne działanie organizatorom nowej administracji kościelnej. Wówczas

to został skierowany do Zielonej Góry ks. Kazimierz Michalski.

Urodził się on 18 sierpnia 1898 r. w Gnieźnie, w rodzinie urzędniczej, jako czwarte z jedenaścioro dzieci. Do gimnazjum uczęszczał w swej rodzinnej miejscowości i tam też zdał maturę w 1917 r. Trwała jeszcze I wojna światowa i młody absolwent został wcielony do armii niemieckiej. Początkowo stacjonował w Świnoujściu, następnie w Stargardzie Szczecińskim i w końcu w Berlinie. Tam też zdał egzamin na tłumacza wojskowego języka polskiego i rosyjskiego. Wówczas został oddelegowany do służby sprawozdawczej w Rostowie nad Donem. Gdy wojna dobiegała końca, z początkiem 1919 r., odtransportowano go do Wrocławia i po zwolnieniu z wojska w kwietniu tego roku Kazimierz Michalski znalazł się ponownie w domu rodzinnym. Wówczas postanowił zostać księdzem. Studia rozpoczął w seminarium poznańskim. Ukończył je jednak w rodzinnym Gnieźnie. Tutaj też 12 grudnia 1922 r. z rąk ks. kardynała Edmunda Dalbora przyjął święcenia kapłańskie.

Przez następne pół roku ks. Kazimierz Michalski był wikarym w Wolsztynie. Od września 1923 r. rozpoczął pracę z młodzieżą. Był prefektem w Gimnazjum Męskim w Trzemesznie i w Seminarium Nauczycielskim Męskim w Wągrowcu, następnie w Seminarium Żeńskim w Lesznie. Po kilku latach uzyskał posadę prefekta w szkołach poznańskich: Gimnazjum Męskim św. Jana Kantego i Gimnazjum Żeńskim Najświętszego Serca Pana Jezusa. W 1932 r. oddelegowano go do pracy z młodzieżą w organizacjach diecezjalnych i niebawem został sekretarzem generalnym Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. 1 września 1939 r. mianowano go dyrektorem Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej.

Szybko rozwijającą się karierę księdza przerwał wybuch wojny. Ks. Michalski został przydzielony na stanowisko kapłana w oddziale Wojska Polskiego. Wraz z nim brał udział w walkach nad Bzurą. Po przegranej bitwie i rozwiązaniu oddziału wrócił do Poznania. Warto nadmienić, że w walkach pod Sochaczewem zginął jego brat Tadeusz, który również był oficerem WP. W tym czasie zmarł także jego ojciec. Po kilku tygodniach ukrywania się ks. Michalski został aresztowany przez gestapo i 9 listopada 1939 r. wywieziony z Poznania. Umieszczono go najpierw w klasztorze w Kazimierzu Biskupim, następnie w kwietniu 1940 r. wywieziono do obozu koncentracyjnego w Dachau. Przez pierwsze kilka lat wojny więziono go we wspomnianym obozie, następnie przeniesiono do Gusen. W ostatnich miesiącach wojny ks. Michalskiego ponownie umieszczono w Dachau. Obóz został oswobodzony 29 kwietnia 1945 r. przez wojska amerykańskie.

Po przejściu kwarantanny ks. Michalski myślał o pozostaniu na Zachodzie, jednakże powstanie Rządu Jedności Naro-

dowej i szybki rozwój PSL napawał go nadzieją na odbudowę demokratycznego państwa, dlatego też 22 września 1945 r. wrócił do Poznania. Przypadek sprawił, że spotkał wówczas w Poznaniu administratora apostolskiego ks. Edmunda Nowickiego, który wcześniej przewodniczył Sądowi Duchownemu w diecezji poznańskiej. Ks. administrator kompletował kadrę dla nowo utworzonej jednostki kościelnej i potrzebował doświadczonych duchownych. Dlatego też zaproponował mu pracę na Ziemiach Zachodnich. Po kilkunastodniowym pobycie w Gorzowie został ks. Michalski skierowany na jeszcze dotychczas nie obsadzone probostwo w Zielonej Górze. Objął je 22 października 1945 r. Przeżycia wojenne i obozowe odcisnęły na nim swoje piętno. Stał się bardziej wymagający nie tylko od siebie, ale i od innych, wcześniejsza otwartość ustąpiła miejsca rezerwie. Pozostało jednak zamiłowanie do zawodu nauczyciela i chęć pracy z młodzieżą.

W Zielonej Górze mieszkało wówczas około 12 000 Polaków. Tymczasowo pracował już w parafii ks. Józef Filipiak. W swej macierzystej diecezji lwowskiej był katechetą, dlatego też z chwilą przybycia do Zielonej Góry rozpoczął naukę religii w zorganizowanej wówczas szkole powszechnej. Niebawem przybył wraz z rodzicami, również z diecezji lwowskiej, młody ks. Franciszek Wrzeszczewicz, który, podobnie jak ks. Filipiak, jeszcze bez oficjalnego aktu nominacyjnego rozpoczął pracę duszpasterską. Jesienią 1945 r. na parafii przebywało 5 księży; oprócz 3 Polaków także wspomniany ks. Schubert oraz dotychczasowy proboszcz ks. Georg Gottwald.

W pierwszych miesiącach teren parafii wyznaczał podział z czasów niemieckich. Była ona rozległa. Obejmowała nie tylko miasto, ale także Stary i Nowy Kisielin, Zawadę, Jędrzychów oraz Raculę. Ponadto należało przynajmniej raz na dwa tygodnie odprawić msze św. w okolicznych parafiach: w Świdnicy, Zaborze, Milsku, Przytoku. W tych przypadkach nowy ks. proboszcz korzystał najczęściej z pomocy ks. Schuberta. Zapisał w swej kronice: „Szczęście, że mam X. Schuberta, który w niedzielę siada na wóz i jedzie w teren misyjny”. Wspomniany teren misyjny coraz bardziej się zaludniał. Także do Zielonej Góry przybywały nowe grupy przesiedlanych z byłych wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Czynny był tylko kościół pw. św. Jadwigi, który podczas nabożeństw już był po brzegi wypełniony wiernymi. Dlatego też jedno z pierwszych zarządzeń nowego proboszcza dotyczyło zwiększenia ilości nabożeństw, do 5 w niedzielę. Ale już w kilka tygodni później okazało się znów, że kościół św. Jadwigi jest „za szczupły”, a w mieście nadal stoją nie użytkowane 3 kościoły poewangelickie. Dlatego też już na początku swego urzędowania proboszcz złożył wnioski o przyznanie parafii tych kościołów. Decyzja została wydana dosyć szybko i ks. Michalski uzyskał klucze od kościołów.

31 października 1945 r. Zarząd Miejski przekazał parafii część cmentarza poewangelickiego przylegającego do starego cmentarza katolickiego w okolicach dzisiejszej ulicy Chrobrego i Wazów. Uroczyste poświęcenie tego cmentarza odbyło się w święto Wszystkich Świętych. Parafia przejęła też budynek proboszczówki. Mieszkał tam proboszcz Michalski, były proboszcz Gottwald, otwarto kancelarię parafialną. Przejęto wówczas także dom przy ul. Kościelnej 6, który został przeznaczony na mieszkanie dla pozostałych księży. Tuż przed 25 grudnia proboszcz otrzymał od władz wojewódzkich poznańskich oficjalne potwierdzenie prawa do większości kościołów poewangelickich oraz niektórych budynków należących do byłych gmin

wyznaniowych. Wówczas to opracowano plan zagospodarowania przekazanych obiektów. Kościół wzniesiony przez fundację Liddy Beuchelt przy ulicy, którą już jesienią 1945 r. nazwano ulicą Generalissimusa Stalina otrzymał wezwanie Najświętszego Zbawiciela, kościół przy placu Bohaterów – św. Józefa, natomiast trzeci, przy placu Wielkopolskim, Matki Boskiej Częstochowskiej. Parafii katolickiej przyznano także sąsiadujący z kościołem były Dom Gminy Ewangelickiej (Evang. Gemeindehaus), dom pastora przy kościele św. Józefa oraz dom przy ul. Chrobrego będący do 1945 r. własnością Wspólnoty Chrześcijańskiej (Christliche Gemeinschaft). Miał on zostać przeznaczony dla nowej parafii, zielonogórskiej, którą zamierzano zorganizować w roku następnym.

Jednym z podstawowych zadań, jakie postawił sobie proboszcz, była szczególnie aktywna praca z młodzieżą. 10 listopada 1945 r. ks. Franciszek Wrzeszczewicz został oficjalnie mianowany prefektem gimnazjalnym i wikarym. To dzięki jego staraniom 13 listopada zorganizowano Święto Patronalne Młodzieży. W kościele parafialnym odbyła się uroczysta msza św., natomiast w teatrze miejskim zorganizowano akademię, na której deklamowano wiersze patriotyczne i religijne. 5 grudnia 1945 r. powstała pierwsza organizacja parafialna, Sodalicia Mariańska Pań. Niebawem zaktywizowała się jeszcze nie zorganizowana oficjalnie parafialna grupa charytatywna. Rozpoczęto przygotowania do pierwszej gwiazdki dla biednych. 17 grudnia rozpoczęto zbieranie darów. Ich segregacją i sporządzaniem paczek zajęły się panie z Sodalicii Mariańskiej i utworzonego nieco wcześniej Koło Pań św. Wincentego a Paulo. Prowadzony dotychczas szpital siostr Elżbietanek został kompletnie wyszabrowany przez wojskowych Armii Czerwonej. Dlatego też przełożona zakonu siostra Simplicja rozpoczęła jego powtórna organizację. 12 grudnia otwarto również pierwsze przedszkole parafialne. Prowadziły je wspomniane siostry elżbietanki.

Chcąc przybliżyć wiernym kościół parafialny, proboszcz dążył do zmiany jego wystroju. Jednym z takich pomysłów było urządzenie w bocznej przybudówce kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Remont kaplicy rozpoczęto już w listopadzie, ale oficjalne poświęcenie kaplicy nastąpiło dopiero 23 grudnia. Zawieszono w niej przywieziony ze wsi podwileńskiej wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Nowy, duży obraz miał wykonać zielonogórski malarz Stefan Słocki, a suknię do obrazu miał wytłoczyć w blasze rzeźbiarz Cieślak.

Już od połowy grudnia zielonogórzanie przygotowywali się do pierwszej pasterki. Celebrował ją w kościele pw. św. Jadwigi ks. proboszcz Kazimierz Michalski. Mimo iż poruszanie się o tak późnej porze po mieście było niebezpieczne, na mszę św. pasterską przyszło kilka tysięcy parafian. 25 grudnia ksiądz Michalski otrzymał nominację na dziekana dekanatu zielonogórskiego i konsultora diecezjalnego. W tym czasie były to jednak bardziej zadania niż stanowiska. Musiał zorganizować parafie niemalże na całym lewobrzeżnym środkowym Nadodrzu, od Gubina po Krosno i Nową Sól. Jako konsultor diecezjalny miał wspierać radą ks. dra Nowickiego i współdecydować o niektórych zmianach personalnych.

31 grudnia 1945 r. proboszcz ocenił, że w parafii mieszka około 17000 wiernych. Ochrzczono 133 dzieci, 152 pary zawarły związek małżeński, odbyły się 82 pogrzeby katolickie. Z nadzieją i zapałem parafianie czekali na nowy 1946 rok.

Ciąg dalszy nastąpi



Wspomnienia i relacje

Kiedy myślę – ojciec

Jak daleko sięga moja pamięć, dzieciństwo kojarzę z sadem pełnym owoców, kwiatowym ogrodem, pielegnowanym z wielkim zamięłowaniem przez mojego Ojca i domem, ładnie urządzone, obszernym, pełnym młodzieży przychodzącej do mojego rodzeństwa, które organizowało zielonogórskie harcerstwo. Ale z największym sentymentem wspominam wieczory, kiedy Ojciec koncertował dla nas na skrzypcach albo na fortepianie. Do dziś dźwięki właśnie fortepianu kojarzą mi się z moimi rodzicami. Piszę te parę zdań, gdyż słyszę jeszcze słowa: „... to i tak wielkie szczęście, że Roman Mazurkiewicz uszedł z życiem”.

Kiedy w marcu 1945 roku mój Ojciec wraz z rodziną wrócił z okupacyjnej tułaczki i próbował odzyskać swój dom i rozrzucony po różnych mieszkaniach dobytek w Grodzisku Wlkp. (gdzie przed wojną był burmistrzem), został oddelegowany przez Zarząd Polskiego Związku Zachodniego do Zielonej Góry w celu – jak to napisano w delegacji – organizacji propagandy przesiedleńczej. W czerwcu tegoż roku, po uporządkowaniu i pobieżnym wyremontowaniu przydzielonego przez urząd mieszkania przy ulicy Sienkiewicza 11, sprowadził moją mamę, siostrę i braci i tak rozpoczął kolejny rozdział swojego pracowitego życia. Powołany w 1946 roku na stanowisko wicestarosty myślę, że pełnił tę funkcję w sposób kompetentny, bowiem jako człowiek wykształcony (dwa doktoraty) w niemieckich i polskich uczelniach, a także dzięki funkcjom pełnionym już wcześniej, przygotowany był do tego typu pracy.

Ale pierwsze lata po wojnie dla wielu były okresem bardzo niepewnym, pełnym politycznych zawirowań i zwykłych zawiści ludzkich. Nie ominęło to i mojego Ojca. Po prostu któregoś dnia w listopadzie 1947 roku nie wrócił z pracy, a o Jego aresztowaniu mama dowiedziała się od „urzędników” przeszkukujących nasz dom. Pasma nie kończących się oskarżeń, pokazowy proces, absurdalne dowody. Wysoko na III piętrze ówczesnego Urzędu Bezpieczeństwa (obecnie Bank Zachodni) przy ulicy Sikorskiego zakratowane małe

okienko. To w nim moja Mama przez długie miesiące szukała charakterystycznego gestu ręki – „jeszcze żyję”.

Z moim chrztem czekano na Ojca. Już chodziłam, kiedy wrócił, podobno siwy jak gołąbek, schorowany, zdruzgotany psychicznie. I tylko spokój, potrzeba utrzymania rodziny i ogromna pasja pracy utrzymały Go przy życiu. Kiedy po wielkich trudnościach (istniał zakaz przyjmowania Go do pracy w urzędach) znalazł wreszcie pracę jako księgowy, bez problemu nauczył się następnego, nowego zawodu.

Największą pasją Ojca była muzyka. Godzinami siedział zamknięty w swoim gabinecie i tylko dźwięki fortepianu mówiły, że pracuje. Komponował nawet w czasie okupacji (grając na skrzypcach), ale większość Jego muzycznego dorobku powstała tu, w Zielonej Górze. Właściwie miał dwie pasje, w które często uciekał – malował i komponował. Chęć muzykowania tkwiła w nim tak mocno, że koncertował nie tylko dla najbliższych w domu. Przez długi czas grał na organach podczas mszy w kościele Matki Boskiej Częstochowskiej, a pierwsze szeregi zielonogórskiej orkiestry symfonicznej próbował wraz z innymi muzykami skompletować już wiosną 1946 roku.

Wiem, że wielkim marzeniem Ojca było zagranie przez powstałą także za Jego wielkim staraniem Orkie-



Autorka wspomnień Zdzisława Krasko z ojcem
dr. Romanem Mazurkiewiczem.

strę Symfoniczną, któregoś z Jego utworów, ale dziś tylko hejnał grany codziennie z wieży zielonogórskiego ratusza przypomina, że ostatnie 25 lat swojego życia poświęcił temu miastu. Poświęcił wbrew tym wszystkim, którzy chcieli się Go pozbyć i wymazać z historii naszego miasta. I gdy dzisiaj słyszę, że to wielkie szczęście, że Ojciec przeżył ten zły czas, to równocześnie wiem, co znaczy zdruzgotać życie rodzinne i okaleczyć człowiekowi duszę.

Zdzisława Krasko

Oświata rolnicza

Naród polski utrudzony wojną i walką o życie, kulturę i wiarę, mobilizował swe siły, aby po pięcioletniej niewoli wspólnymi siłami podnieść do godności ludzkiej każdego człowieka. Czynili to ci, którzy pozostali przy życiu. Wielu zginęło w komorach gazowych, obozach koncentracyjnych, na polu bitwy, w Katyniu. Po wojnie nie było czasu na zastanawianie się, z kim się przyjaźnić, czy odpowiada ta, czy inna praca. Kto tylko chciał, to znalazł dla siebie zajęcie nie tylko w swojej rodzinie. To wzajemne zrozumienie mobilizowało chęć do życia i siłę do walki o wspólne dobro. Osoby, które miały przygotowanie w zakresie krzewienia kultury, aktywnie i ofiarnie włączyły się w życie mieszkańców Starego Kisielina. Organizacją Szkoły Rolniczej zajęła się pani inżynier rolnictwa Zofia Sadowska. Potrafiła ona przekazywać fachową wiedzę młodzieży uczęszczającej do tejże szkoły. Pod jej troskliwym okiem odbywały się też zajęcia praktyczne polegające na organizowaniu poletek doświadczalnych, co w pełni dawało efekty zdobywania fachowej wiedzy.

Pani inżynier Zofia Sadowska potrafiła zaangażować młodzież jak również pozostałych mieszkańców do aktywnego życia kulturalnego. Na terenie Szkoły Rolniczej organizowane były różne konkursy, między innymi kursy gastronomiczne, były też wieczorki dyskusyjne na różne życiowe tematy. Szeroko było rozpowszechnione czytelnictwo. Z okazji święta Oświaty przy współpracy młodzieży Szkoły Rolniczej, działu szkolnej i mieszkańców Starego Kisielina urządzony został w dniu trzeciego maja 1946 roku poranek poświęcony propagowaniu czytelnictwa, doniosłości książki i biblioteki publicznej. Zostały złożone wolne datki pieniężne i książki, co wzbogaciło zakres czytelnictwa. Pani Zofia Sadowska zawsze służyła rzetelną pomocą i radą, zachęcała do aktywnego, kulturalnego życia. Dobrze układała się praca ze szkołą podstawową, jak również z panią Anną Szczepaniak, która była włączona w zakres nauczania Szkoły Rolniczej. Prócz nauczania zorganizowała chór kościelny i rozśpiewała młodzież.

Pani Zofia Malinowska (ale to nie ja) zorganizowała młodzieżowy zespół taneczny, który dał wiele występów wzbogacając życie kulturalne, był ozdobą i bogactwem Starego Kisielina. Były to nasze polskie tańce ludowe, był również



Chór w Starym Kisielinie, prowadzony przez panią Annę
Szczepaniak, w czasie uroczystości poświęcenia sztandaru.

piękny taniec cygański. Całość zespołu tanecznego uświetniały prawdziwe, regionalne stroje. Zespół ten występował na różnych okolicznych uroczystościach – również na zorganizowanych dożynkach. Młodzież nie szczędziła czasu ani na występy, ani na przygotowywanie strojów. Pani Zofia Malinowska swoją osobowością promieniowała dobrem na każdą, a szczególnie młodą, osobę, co dawało wiele satysfakcji i sukcesów.

Spora grupa młodych ludzi ze Starego Kisielina kontynuowała naukę w różnych szkołach średnich, jak ogólnokształcące, pedagogiczne, itp. Z biegiem czasu kontynuowano naukę również na wyższych uczelniach. Mieszkańcy Starego Kisielina zajmowali ważne stanowiska również w Zielonej Górze.



Dożynki w Starym Kisielinie.
Na scenie młodzież z wieńcem dożynkowym oraz
pani Anna Szczepaniak ucząca w szkole rolniczej.

Szkoła Rolnicza ukończyła swą działalność w 1948 roku z chwilą wyjazdu pani inżynier Zofii Sadowskiej do Wrocławia, gdzie w dalszym ciągu pracuje na bardzo pożytecznej niwie rozwoju oświaty rolniczej. Pełni tam funkcję wizytatora szkół rolniczych. Praca zawodowa i obowiązki rodzinne nie w pełni zaspokajają jej potrzebę aktywnego działania. Wiąże się z ruchem ludowym, gdzie pełni funkcję członka Prezydium WK ZSL i przewodniczącej Komisji Kobiecej WK. Jej pasją życiową staje się praca społeczna wśród kobiet wiejskich, a w ślad za tym przybywają nowe obowiązki przewodniczącej Rady Wojewódzkiej KGW, członka Prezydium Rady Głównej KGW, a następnie wiceprzewodniczącej Dolnośląskiej Rady Kobiet. W tej wszechstronnej działalności nigdy nie traciła pogodnego nastroju, który daje poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Była pracowita i ofiarna, czuła na ludzką krzywdę i zawsze gotowa spieszyć z pomocą. Zmarła dnia 9 czerwca 1969 roku we Wrocławiu. Była odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką: „Zasłużony dla Dolnego Śląska”, Odznaką 13-lecia Wyzwolenia Dolnego Śląska. W zmarłej straciłszy ofiarnego i nieodżałowanego pracownika i działacza społecznego. Inżynier rolnictwa pani Zofia Sadowska pozostawiła dobry grunt dla życia kulturalnego w Starym Kisielinie.

Zofia Malinowska

Władysław Czuchraj

Fala życia

Takim tytułem Władysław Czuchraj opatrzył swój pamiętnik. Opisuje w nim swoje przeżycia, spostrzeżenia i refleksje od momentu wyładunku transportu repatriantów w Szprotawie i Niegosławicach w listopadzie 1945 r. W następnych rozdziałach autor opisuje organizację życia przesiedleńców we wsi Żuków i w Bukowcu, okres nauki w gimnazjum w Szprotawie, a następnie przygotowania do matury i pracę w Zielonej Górze. Po studiach w Poznaniu autor podjął pracę na stanowisku radcy prawnego w nowosolskim Dozamecie. Pamiętnik zamknął datą 1951 r.

Władysław Czuchraj (1927-1978) był korespondentem „Przekroju” i ówczesnej „Gazety Zielonogórskiej”. Za swój wzór uznawał styl literacki Wiecha. Nie zrealizował najciekawszych zamiarów pisarskich. Oprócz pamiętnika pozostawił po sobie rękopisy powieści opartej na faktach oraz kilku nowel z życia mieszkańców Huty Oleskiej na Kresach Wschodnich w okresie międzywojennym i w czasie wojny.

Część pamiętnika została opublikowana w „Mój dom nad Odrą” w 1961 r. jako pokłosie konkursu ogłoszonego przez Lubuskie Towarzystwo Kultury. Dziś, dzięki Państwu Janinie i Franciszkowi Pawłowskiemu z Żukowa, uzyskałem rękopisy i w ten sposób dotychczas nie opublikowaną część pamiętnika możemy udostępnić.

Poniższy fragment pamiętnika dotyczy Zielonej Góry i ma tę zaletę, że ukazuje autentyczną fascynację młodego chłopaka z pokolenia Kolumbów, który po tragicznych przeżyciach czasu wojny cieszy się ze stabilizacji życia w Polsce. Jak wiemy, nie był to najlepszy okres w powojennej historii naszego kraju.

(...) Polska Wełna to w miniaturze dzieje miasta. Początki były trudne i burzliwe. Straszły zdewastowane hale. Brak było maszyn, brak fachowców. Wszystko zaczynało się od podstaw. Na trudnościach żerował wróg, wlokła się masa starych przeżytków i przyzwyczajęń, osłabiając zapal i narastające tempo produkcji. Trzeba było wykryć i zlikwidować szajki złodziei i defraudantów, w które był zamieszany nawet dyrektor zakładu. W Polskiej Wełnie brała w łeb stara, mieszczańska moralność. Rośli i zdobywali kwalifikacje nowi ludzie, dojrzewali majstrowie i robotnicy, ci, którzy podnosili i uruchamiali ten Zakład. Coraz szerzej przechodzono na system akordowy. Rosła wydajność i zarobki. Podnosiły się kwalifikacje, rozwijała wielowarsztatowość, wzrastała jakość. System chałupniczy wyrugowano z produkcji. Produkowane materiały wysyłano już na Targi Poznańskie.

- Towarzysko – mówił jeden z majstrów do sekretarza Zakładowej Organizacji Partyjnej – Targi Poznańskie to kropelka. Musimy dorobić się tego, żeby nasze materiały były znane i cenione w całym kraju. Byśmy mogli z dumą powiedzieć: ten materiał został wyprodukowany przez nas w naszej fabryce. Oprócz materiałów, które zaspakajały część potrzeb naszego chłonnego rynku, Polska Wełna tworzyła w grodzie winnic kulturę. Amatorski Teatr Włóknarzy „Redu-

ta” tworzył znakomite na owe czasy spektakle i odnosił coraz większe sukcesy. Piękna, lecz biedna jest nasza Zielona Góra – mówił jeden z reżysersów (dziś aktor Teatru Ziemi Lubuskiej) – taki Wrocław ma swój teatr, operę, ma Żukrowskiego. Obradują tam intelektualiści całego świata. A my? Stajemy się trochę modni raz w roku, na Winobranie. Mamy tylko „Redutę” i ambicje... Nawet gazety drukują dla nas w Poznaniu. W Polskiej Wełnie ciężko pracują oczyszczacze, spieszą się nawijarki osnów – skręcarki, stukają krosna tkaczy. Na kołach kołysz się i wibrują rozdrobnione włókienka przędzy. Widziałem radzieckie krosna bez osnowy – tłumaczył jakiś robotnik koledze. – Z czasem będą takie i w naszym zakładzie. Punktualnie wychodzimy z kolegą z pracy. Trzeba się spieszyć, aby zdążyć zjeść obiad w Centralce. Za godzinę czekają nas szkolne zajęcia. Płyne za nami rytmiczny stukot maszyn, spieszą się ludzie. Zapominamy nawet o surowym personalnym. Na portierni uśmiecha się rewident, bieją, polyskują szybami ściany hal, kontrastując z zielonym wzgórzem winorośli. – Nasz zakład – mówi ktoś idący za nami.

Zielonogórska Wieczorowa Szkoła Ogólnokształcąca dla Dorosłych przygotowywała do egzaminów dojrzałości kolejną partię kilkudziesięciu maturzystów. Uczniowie wieczorówki, w przeważającej części ludzie dorośli, pracujący, nigdy nie stanowili wyrównanego poziomu. Wśród jednostek pracowitych i zdolnych znajdowali się pospolicie objający stawiący na przysłowiowy łut szczęścia. Demoralizujące lata okupacji, nieustanna pogoń za elementarnymi środkami do życia, przedwczesna dojrzałość – wypaczyły wlokące się piętno lenistwa i nawyków, na likwidację których potrzebne były długie lata.

Odpowiedzi uczniów bywały różnego kalibru. Na lekcji chemii w pracowni szkolnej wykładowca, zatwardziały aż do cynizmu chemik, napisał kiedyś na tablicy symbol Na. – Co to jest? – zapytał jednego ze słuchaczy. – Sód – odpowiedział zapytany, usłyszawszy podpowiadanie kolegi. – A co to jest wartość pierwiastka? – pytał chemik.

– Wartość... wartość – jękał się uczeń – jest to wartość jednego pierwiastka w stosunku do wartości drugiego pierwiastka. Wykładowca wziął z szafki słoik napelniony do połowy sodem i podszedł do ucznia. W oczach jego igrały złośliwe błyski. – To jest sód – powiedział. – Jaka jest jego wartość? – Ze dwieście złotych – odpowiedział bez namysłu zapytany.

Kolokwia z propedeutyki filozofii, jak przystało na tę szanowaną naukę, odbywały się w nastrojowej ciszy. – Panie X – zapytał magister N. – Może pan powie, co się składa na istotę człowieka? Wyrwany z kontemplacji uczeń czerwienił się jak panienka. Jąkał się. – Na istotę człowieka... tego... składa się... tego... dusza... rozum, rysopis oczywiście. Takim odpowiedziom towarzyszyły huragany śmiechu. Uśmiechnął się nawet poważny magister N. A nieszczyśny uczeń od tego czasu zyskał sobie przydomek... Rysopis oczywiście.

Wykładowca geografii, szcząc się zorganizowaną z niczego bogatą pracownią wyglądającą jak muzeum pamiątek, zawsze wesoły kpiarz, niejednokrotnie natrafiał na tak nastrojowych uczniów, którzy konceptem przewyższali nauczyciela. – Co to jest erozja rzek? – zapytał geograf ucznia kolokwium, siedząc wraz z nim na kanapie w kancelarii szkoły. Zaczęła się lawinowa odpowiedź o rzekach górskich i nizin-

Pińsk – stolica Polesia ma 1000 lat!

Część I

Jak opisać moje ukochane miasto dzieciństwa i wczesnej młodości, które uważam za miasto rodzinne, pomimo że nim nie jest?

Urodziłam się nad błotami – rozlewiskiem Prypeci, gdzie ona przecina się z Poleską Koleją Żelazną słynne Mosty Wolańskie na odcinku Łuniniec-Sarny, we wsi Duboj, w której Kaczanowscy, przodkowie mojej mamy Michaliny Wolskiej z Kaczanowskich, mieszkali od pokoleń. Nie urodziłam się w Pińsku przez pomyłkę, dlatego pięć lat później mama pojechała do Pińska już miesiąc przed rozwiązaniem, zabierając mnie ze sobą. To było moje pierwsze zapamiętane zauroczenie tym miastem.

Zamieszkałyśmy u mamy siostry, wujostwa Antoniny i Aleksandra Gruszeńskich, których kamienica stała przez ulicę od wzniesienia na żelazny most przez Pinę. Z okien na piętrze, ponad wzniesieniem, widać było dziedziniec z drzewami i przepiękny kompleks budowlany – chlubę Pińska, barokowy kościół św. Stanisława, klasztor i kolegium oo. Jezuitów, wybudowane pod koniec XVII w., w latach 30-tych naszego wieku mieściło się tam niższe Seminarium Duchowne i prywatne męskie gimnazjum oo. Jezuitów.

Jeszcze wielokrotnie wracałam do Pińska, a nawet chodziłam do Szkoły Powszechnej nr 3 przy ul. Leszczyńskiej, gdy moi rodzice, kierownik szkoły w Dubaju i nauczycielka, doszli do wniosku, że powinnam dostać „szkołę” w innej obcej szkole. W sierpniu 1936 r. zamieszkałam u cici Toni, mogłam chodzić do pobliskiej Szkoły nr 5 przy ul. Kościuszki, ale w oddległej Szkole nr 3 miałam być pod specjalnym nadzorem. Wychowawcą moim był p. Sienkiewicz, przyjaciel rodziców, wymagający, ale wspaniały człowiek. Po wojnie osiedlił się w Wałbrzychu i w 1947 r. odwiedził nas w Zielonej Górze.



Пинск. Панорама города 1916 г.

Pińsk – panorama miasta 1916 r. Kościół św. Stanisława, Klasztor i Kolegium oo. Jezuitów, u podnóża kościoła widoczna Duża Synagoga.

nych, o Odrze i Nysie jako granicy, o Włodze, Nilu, Amurze i Amazonce. Uczeń bez zająknięcia sypał nieustannym potokiem słów. Dopiero po piętnastu minutach uległ perswazji wykładowcy i zatrzymał rozpędzoną opowieść. – Dobrze, dobrze... fantastycznie, wspaniale – kiwał głową geograf – ale powiedz mi przyjacielu krótko, co to jest owa erozja. – Jeszcze – zachnął się uczeń. – Mam znowu od początku? – Nie, nie – zamachał rękoma wykładowca. Daruj pan. Dam panu trójkę, żeby mnie pan więcej nie męczył. A swoją drogą, geografii trzeba się będzie nauczyć.

Ekonomista był wymagający i bezwzględny, jak prokurator. Ale kiedy mówił o wyzwoleniu, o Ziemiach Zachodnich, o Zielonej Górze – zapalał się. Aż dziw, ile w tym, zdawało się, oschłym i poważnym człowieku było ognia i młodzieńczego entuzjazmu. Nieraz dyskutowaliśmy, jaka będzie nowa Zielona Góra. Miasto zaułków i krętych uliczek rosło w naszych dyskusjach w miasto słonecznych bloków i szerokich arterii. Wtedy czekał je pierwszy awans – na siedzibę województwa. Dziś ambicje przeradzają się w czyn, nabierają realnych kształtów. – Po studiach wracam do Zielonej Góry – mówili koledzy.

Budynek przy placu Słowiańskim, gdzie mieściła się średnia szkoła dla dorosłych, był świadkiem niejednej tragedii. Egzamin maturalny, ten pierwszy krok ze szkoły w życie, nie dla wszystkich był jednakowo łatwy. Nieraz lata nauki, czas wyrwany pracy i rozrywce, rozsypywały się jak domki z kart. Budowane przez lata nauki misterne gmachy marzeń rozwały się brutalnie w jednym dniu. Przez kilka dni dręcząca gorycz porażki i ten młodzieńczy gorzki żal, do siebie, do innych, do losu, który częstokroć był łaskawszy nawet dla słabszych, nawet dla tych, którzy na to nie zasługiwali.

Zosia, ładna, zadumana, o błyszczących młodością oczach, zdolna dziewczynka, marzyła o stomatologii. Los maturalny nie był dla niej łaskawy. Widziałem w dużych oczach Zosi lzy dziewczęce, gorące, pełne bezbrzeżnego żalu i obfite jak sama młodość. Trudno Zosiu... Czasem trzeba od nowa. Życie nie jest żartem. „Rozkosze są niby fale i szczyty gór, cierpienia niby głębie i wąwozy i dopiero one razem sprawiają, że życie jest piękne” – pisał Prus w „Faraonie”.

Z wylotu ulicy Jaskółczej, gdzie mieszkaliśmy, widać całą Zieloną Górę. Z prawej szumiące wzgórza winnic i opadająca w dół ulica Botaniczna. Przypięte do zbocza domki okolonie kwiatami, winoroślą i bluszczami. W dole, rzekłbyś u stóp, panorama miasta. Ubarwione zielenią, wypolerowane prostokątne kostki i kompleksy domów, dymiące kominy Polskiej Wełny, Zgrzeblarek, Zastalu. Bielą się i czerwienią dachy domów, polyskują kryształem szyby okien. Za zakładami drzewnymi pyka na nasypie lokomotywa. Gdzieś za Wrocławską zieloną zboczą winnic zlewają się z widnokregiem lasów i zamykają z kopułą nieba. Z lewej królestwo Bachusa – Lubuska Wytwórnia Win. Miasto opada w dół, przechodzi w płaskie tereny pól biegnących hen, ku odrzańskim brzegom. Z tyłu białe domki w gęstwinie sadów przechodzących w zieloną ruń, gęstniejącą, biegnącą w dal, zacierającą się na Piastowskich Wzgórzach, parku, gdzie bieleje samotna sylwetka hotelu. Nocą miasto płonie tysiącami światłami, gra kolorami, mruga – jak wyiskrzane niebo. (...)

(Do druku przygotował Jan Zelek Bakusiewicz)

Na stałe, z rodzicami, przyjechałam do Pińska na początek lipca 1939 r., a na zawsze opuściłam Pińsk w wieku 16 lat, 4 lipca 1944 r.

W Zielonej Górze zamieszkaliśmy 15 września 1945 r., też ją pokochałam i uważam za moje miasto, tu spędziłam niemal całe dorosłe życie. Jednak z wiekiem, gdy dzieci na swoim, emerytura, coraz bardziej staje się prawdziwe francuskie przysłowie, że pierwszej miłości nigdy się nie zapomina.

Pińsk nie był administracyjną stolicą Polesia. Do XIV w. był nią Turow, a potem już do dziś – Brześć. Za wyjątkiem okresu zaborów rosyjskich, kiedy Pińsk należał do guberni mińskiej. Jednak dzięki swemu geograficznemu położeniu był zawsze niekwestionowaną naturalną stolicą Polesia. Położony na lewym, wysokim brzegu Piny, tam gdzie łączy się ona z główną rzeką Polesia – Prypecią i gdzie jest bogata sieć jej dopływów, już z natury był miastem obronnym. Przeciwnie, prawy brzeg Piny, to błota i oczerety, ciągnące się kilometrami, a na wiosnę powstawały z nich rozlewiska, po kres horyzontu, niczym morze.

Legendy o jego powstaniu cofają Pińsk w rzymskie jeszcze czasy i nazwy „Pina”, „Pińsk” łączą z łacińskim słowem „pinus” – sosna, z racji wspaniałych sosen, które mieli wywozić stąd Rzymianie do budowy swoich okrętów. Inne legendy mówią, że nazwa miasta i rzeki wywodzi się ze słowiańskiego słowa „pin”, oznaczającego przystanek, przystań. Są wzmianki, że już w IX w. został osadzony książę Światopełk w Pińsku i Turowie. Wydana w 1941 r. w Nowym Jorku książka nosi znamienity tytuł „1000 lat Pińska”. W starożytnych przekazach jest też wzmianka, że latem 1005 r. ustanowiono prawosławne biskupstwo w Turowie obejmujące też miasto Pińsk. Wszystkie te wzmianki są na tyle istotne, że Rada Miejska Pińska zwróciła się do historyków o dokładne ustalenie czasu powstania miasta. Na razie władze Pińska jako pewną przyjęły wzmiankę o mieście w kronice z 1097 r., tzw. „Latopisie Daniłowicza”, napisaną przez mnicha kijowskiego, Nestora. Dlatego też w 1997 r. Pińsk obchodził swoje 900-lecie. Wydano parę książek o mieście, m.in. „Przewodnik po stolicy Polesia” Wiesława Makawczuka traktujący temat mniej propagandowo niż inne publikacje.

Pińsk leżał na przecięciu się traktów handlowych, dlatego przez stulecia podstawą rozwoju miasta był handel, szczególnie hurtowy. Do Pińska przez Dniepr i Prypeć docierały ogromne łodzie żaglowe wyładowane towarami, które tu były składowane, następnie przeładowywane na małe jednostki pływające oraz wozy i rozprowadzane we wszystkich kierunkach. I odwrotnie – ściągano towary małymi jednostkami, wysyłając dużymi na wschód i południe.

Obrazowo scharakteryzował Pińsk nasz słynny pisarz Józef Ignacy Kraszewski, pochodzący z Polesia ze wsi Dołhe koło Prużan, podczas pierwszego przyjazdu w 1834 r. w książce „Wspomnienia Wołynia, Polesia i



Pińsk 1936 r. – Kościół św. Stanisława, Klasztor i Kolegium oo. Jezuitów od strony rzeki Piny, w głębi na prawo kościół franciszkański – katedra. Osoby: siostry T. i Z. Butkiewiczówny, od 1945 r. zielonogórzanki T. Piotrowska i Z. Gruszecka.

Litwy”. Wg pisowni oryginalnej: *Nareście zbliżamy się do Pińska, gwiazdy swoich okolic, miasta które z Białym i Czerwonym Morzem ma związki, siedzącego jak Żyd bankier na wielkim gościńcu, po kolana w błocie, na worku soli z trzosem rubli. Z daleka naprzód pokazują się wieże eks-jezuickiego kościoła.*

To, że Pińsk był bardzo ważnym punktem na szlakach handlowych między Polską, Rosją i Litwą a potem Zachodem Europy oraz bogatym miastem, pozwalało na szybką odbudowę po zniszczeniach, ale i prowokowało najeżdźców. W ciągu swej tysiącletniej historii Pińsk przeżył kataklizmów wiele, jednymi z ważniejszych były:

W 1241 r. Pińszczyznę spustoszył najazd wojsk tatarskich. Dysponowali oni niezwykle groźną jazdą, którą charakteryzowało też niesłychane okrucieństwo. Po rozbiciu Rusi Kijowskiej Tatarzy skoncentrowali swe siły niedaleko Łucka, skąd w styczniu, gdy lody zamrzły, ruszyli na Polesie jednocześnie dwoma uderzeniami. Na Brześć i Drohiczyn oraz na Pińsk i Nowogródek. Powróciwszy tzw. zagonami w okolicę Łucka w marcu uderzyli na południe Polski docierając do Legnicy, gdzie w kwietniu 1241 r. zginął Henryk Pobożny, syn św. Jadwigi i Henryka Brodatego. Po tym Pińsk znalazł się pod panowaniem książąt litewskich, a następnie królów polskich.

W 1648 w czasie powstań narodowościowo-religijnych, które wybuchły na Ukrainie pod wodzą S. Nalewajki i B. Chmielnickiego, niepokoje doszły też na Białoruś, gdzie na czele powstańców stanął A. Nebaba, którego stronnicy wznieśli powstanie w Pińsku. Na pomoc powstańcom przybył do Pińska oddział kozaków, wypędzono i mordowano księży, katolików, unitów i Żydów. Spalono kościoły, cerkwie unickie, synagogę, a nawet 2 cerkwie prawosławne, miasto ograbiono. Na pomoc przybył hetman Janusz Radziwiłł z wojskiem, pułkownicy Mirski i Jelski opanowali miasto, którego większa część została spalona, a zabitych było ponad 3000 osób.

W 1706 roku tzw. wojna północna ze Szwecją zastała kraj zrujnowany. Wojska szwedzkie dotarły na Polesie,

5 maja Karol XII zajął Pińsk. Przez miesiąc pobytu Szwedzi ograbili miasto, zburzyli nowy zamek książąt Wiśniowieckich i spalili przedmieście Karolin. Rządy władców saskich w latach 1697-1763 stanowiły okres największego upadku państwa polskiego.

Wróćmy jednak do czasów pokoju i prosperity Pińszczyzny. Już od początków istnienia Pińsk stał się coraz ważniejszym centrum handlu, rzemiosła, kultury i administracji, jednocześnie był miastem obronnym. Rozmieszczenie i nazwy ulic na planie miasta pozwalają odtworzyć jego dzieje. Stare Miasto, które od południa jest oparte o rzekę Pinę, z natury obronne, opasują półkołem ul. Zawalna i ul. Rowecka powstałe na miejscu dawnego wału i rowu, opasujących stary warowny gród, z którego pińszczanie odpierali ataki Litwinów, Tatarów i watah kozackich. Na zewnątrz półkola wybiegają promieniście proste i długie ulice rozrastającego się miasta.

Okoliczna ludność Pińszczyzny zajmowała się łowiectwem, rybołówstwem i uprawą ziemi. Latem spalaniem drewna – głównego bogactwa Polesia. Rozwijało się też rzemiosło i handel. Ważne miejsce Starego Miasta stanowi rynek sięgający Piny. Do jej brzegów przybijały z okolicy łódki z towarami sprzedawanym wprost z nich (żywa ryba była zanurzona w wodzie, w skrzynkach koło łódki). Towary były też sprzedawane z wozów ustawionych w szeregi. Rynek okalały kramy, warsztaty rzemieślnicze, jatki mięsne, solne, chlebowe, wagi miejskie, woskobojnie i karczmy. Pińskie jarmarki istniały już w czasach Rusi Kijowskiej i przetrwały do czasów dzisiejszych w tym samym miejscu nad Piną. Po obydwu stronach rynku, wzdłuż ulicy Nabrzeżnej rozlokowały się składy towarowe do handlu hurtowego. Gdy Polesie znalazło się w zasięgu władzy litewskiej, produkty poleskie uzyskały nowych nabywców, aż po Bałtyk, a za Jagiellonów nawiązano kontakty handlowe z innymi ziemiami Polski.

Gdy w 1521 r. umiera bezpotomnie piński książę Teodor, w 1523 r. król Zygmunt I Stary nadaje Księstwa Pińskie, Kobryńskie i Prużańszczyznę swej żonie – królowej Bonie. Prawie czterdzieści lat rządziła Bona Polesiem, dla którego jej rządy okazały się dobrodziejstwem, gdyż gospodarna, oszczędna, nieco chciwa Włozka sama wszystkiego doglądała. Dokonuje obmiaru ziem, zagospodarowuje pustki, sprowadza z Polski osadników-fachowców, osadza dwory i miasta, buduje drogi, ulice, kopie kanały, m.in. 6 km kanał z Pińska do folwarku królewskiego we wsi Stetyczew. Wszystko to planowo, na długie lata i na szeroką skalę. Sprowadza swych przedstawicieli, pierwszych starostów, pińskiego i kobryńskiego.

Utworzone za panowania Zygmunta Augusta w 1569 r. województwo brzesko-litewskie gruntuje władzę administracyjną. Podzielone zostaje na dwie ziemie, brzeską i pińską, która otrzymuje dwa mandaty poselskie na Sejm Polski w Warszawie (w latach 1652-1661 posłami byli S. Orda i J. K. Młocki). Od tego czasu Pińsk już ma stałych starostów.

Rok 1581 jest bardzo ważną datą dla Pińska, w tym roku król Stefan Batory nadał miastu obszerne przywileje, prawa magdeburskie i herb: „w polu czerwonym łuk złoty, napięty, ze strzałą o stalowym ostrzu”. Prawa te potwierdza król Zygmunt III Waza i nadaje nowe przywileje, otrzymują je też pińscy Żydzi. Królowie Władysław IV i Jan Kazimierz również potwierdzają nadane miastu przywileje. Znakomicie handlowo położony Pińsk mógł się rozwijać i bogacić. Powstają piękne domy mieszczan, rezydencje okolicznych ziemian oraz budowle sakralne i użyteczności publicznej:

1396 r. kościół Franciszkanów przy głównej ulicy, drewniany, buduje książę piński Zygmunt Kiejstutowicz. W 1510 r. na miejsce drewnianego król Zygmunt I Stary wznosi gotycki kościół murowany. W 1635 r. S.A. Radziwiłł od strony rzeki dobudowuje murowany klasztor.

1623 r. starosta Jerzy Zborowski uzyskuje w Warszawie zezwolenie na budowę ratusza, który powstaje w górnej części rynku, w czasie rebelii kozackiej w 1648 r. spalony, wkrótce odbudowany.

1640 r. wybudowano murowaną tzw. Dużą Synagogę przy ul. Królowej Bony.

1666 r. wojewoda połocki buduje kościół Dominikanów.

1635-1675 r. na zlecenie księcia Stanisława Alberta Radziwiłła, na wysokim brzegu Piny, w sercu miasta, powstaje potężna, ale i najpiękniejsza budowla Pińska – klasztor i kolegium oo. Jezuitów oraz barokowy kościół św. Stanisława, przy wznoszeniu którego pracowali najlepsi mistrzowie Europy.

Niektóre z budowli przetrwały do naszych czasów, a większość miała burzliwą i ciekawą historię, ale o tym i czasach nam bliższych w następnym artykule.

PS. Zbierając materiały do artykułu „Polesia czar”, który ukazał się w poprzednim numerze „Pionierów”, stwierdziłam, że w Zielonej Górze o te materiały bardzo trudno. Biblioteka Wojewódzka im. Cypriana Norwida na hasła: Polesie, Pińsk, Wojenna Marynarka Rzeczna, nie miała nic do zaproponowania. Brak też kilku tytułów, o których wiem, że traktują o tym. Coś niecoś znalazłam w Bibliotece Szpitala Wojewódzkiego i filii Biblioteki przy ul. Ptasiej. Tym bardziej pragnę tu podziękować mojej kuzynce z Łodzi, Reginie Maranda z Bogatków, mojej przyjaciółce z Pińska, która nadesłała mi wiele istotnych materiałów.

Lwówianie i Wilnianie mają swoje stowarzyszenia, szkoda, że nie ma stowarzyszenia Poleszuchów. Aby choć w niewielkiej części wypełnić tę lukę, postanowiłam rozszerzyć publikacją moich relacji, wspomnień, dlatego ukaże się ich dalszy ciąg. Jeżeli czytelnicy naszego czasopisma mogliby coś wniesić na temat Polesia, to proszę o kontakt za pośrednictwem Sali Wspomnień w ratuszu, czynnej codziennie, tel. 325-58-53.

cdn.

Jadwiga Kolibabka

KRESOWIACY SĄ WŚRÓD NAS

Pasjonujący temat, nie tylko dla czytelników związanych z kresami swym pochodzeniem, podjął prof. Jacek Kolbuszewski w swej książce – albumie „Kresy” (Wrocław 1997). Została ona wydana w dobrze, pod względem tematycznym, przemyślanej serii (red. Daria Demidowicz-Domnasiewicz) – i jak na jej objętość, w reprezentacyjnej szacie graficznej (dzieło zespołu Wydawnictwa Dolnośląskiego). Podziwiamy w książce niezliczoną ilość różnorodnych ilustracji wraz z komentarzami autora. Wśród ludzi dobrej woli, którym autor dziękuje za współpracę, znajduje się, co należy podkreślić, wymieniony na pierwszym miejscu listy p. Ryszard Harajda z Zielonej Góry.

Lektura „Kresów” pobudza do refleksji nad znaczeniem tego terminu. Wbrew pozorom nie jest on ciągle tak czytelny, jak nam się wydaje, niezależnie od ładunku emocjonalnego jaki zawiera dla wszystkich Polaków z kraju i zagranicy, nie tylko pochodzących z ziem południowo-wschodnich. Istotne jest nie tylko geograficzne i historyczne określenie Kresów przed rozbiorami, w czasie rozbiorów, w czasach II Rzeczypospolitej, drugiej wojny światowej, lecz również wyjaśnienie przemian świadomości kresowej w ciągu 150 lat i powstanie dwu „odmian kresowiaków”, w PRL i na uchodźstwie. Problem ten w znaczeniu: kresy, mentalność kresowa, kulturowe tradycje, itp. nie został również zbadany w PRL, a także po 1989 r., choć mnożą się na ten temat sesje naukowe w kraju i za granicą. Dodajmy także, iż na Zachodzie obecnie termin ten oznacza, w związku z nową sytuacją polityczną, wschodnie pogranicze nowej, zjednoczonej Europy. Badania również winny dotyczyć tematyki kresowej na wszystkich pograniczach polskiego państwa. Wszak sam J. Kolbuszewski podaje najpierw za J. Zachariasiewiczem, autorem powieści „Na kresach”, wydanej w 1860, iż „kresy” w znaczeniu obrony państwa oznaczały także zachodnie rubieże nad Wartą i Notecią. Następnie zaś sam orzeka, iż „w wieku XX były to nawet pogranicza południowe i zachodnie” (s. 54).

Według J. Kolbuszewskiego termin Kresy, w znaczeniu ziem ukraińskich, rozpropagował Wincenty Pol od połowy XIX w. (poemat „Mohort” z 1854 r.), zaś najbardziej istotną była „idea jedności owych ziem przykresowych, ukraińskich z Rzeczpospolitą, obejmujących od unii lubelskiej całość ziem litewsko-ruskich”. Owa idea,

według autora, wiążąca się głównie z „narodem szlacheckim” stała się też ważnym instrumentem „mitologizacji Ukrainy, a po części także i reszty ziem litewsko-ruskich, dokonującej się w XVI, XVII i XVIII w.” (s. 41).

Podnosząc zasługi W. Pola, należy docenić również wkład uczonych Uniwersytetu Wileńskiego i jego uczniów po likwidacji uczelni w l. 30. XIX w.; m.in. J.I. Kraszewskiego. W czasie zaborów w języku polskim opracowali m.in. dzieje ziem litewskich, białoruskich, ukraińskich; uwzględniając ich pochodzenie, skład etniczny oraz język. Podtrzymanie etnicznych tradycji i ich wejście do wspólnoty kulturowej w XIX w. są niezaprzeczalną zasługą także wielu bezimiennych, nieświadomych propagatorów – przedstawicieli wielonarodowościowej i wielowyznaniowej ludności. Autor podkreśla głównie cechy swojskości folkloru białoruskiego, litewskiego i ukraińskiego jako tworzywa dla polskiej literatury, sztuki i muzyki, jak również polską promocję dla narodowego odrodzenia litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego w XIX w. A jednak legenda kresowa, owa w zamyśle W. Pola rycerska obrona granicy państwowej, wraz ze zmianą pokoleń wszystkich narodowości, poddanych represjom w kierunku wynarodowienia i podporządkowania przez Rosję od trzeciej ćwierci XIX w., stała się również składnikiem konfliktów narodowościowych. Były one szczególnie widoczne w czasie odrodzenia litewskiego w końcu XIX w., zaś ich pierwszy wybuch nastąpił po zakończeniu pierwszej wojny światowej. J. Kolbuszewski podkreśla wpływ poematu „Mohort” W. Pola „na wyobrażenia o przestrzennym kształcie mającej się odrodzić Rzeczypospolitej w granicach sprzed 1772 r.” (12 wydań do 1925 r., s. 6-8). Brak wznowień po 1925 r. autor tłumaczy wypełnieniem roli poematu po ustaleniu granic w pokoju ryskim (1921).

Pojęcie „kresy”, podobnie jak autor, wyjaśnia „Nowa encyklopedia powszechna” (t. 3, 1995). Oznaczały one „początkowo stanowiska wojsk na pograniczu Podola i Ukrainy, z czasem pograniczne ziemie południowo-wschodnie, po rozbiorach wszystkie prowincje wschodnie, z czasem wszystkie inne ziemie pograniczne”. Kresy w okresie rozbiorów oznaczały jednak tylko najpierw same granice obronne na południowym wschodzie Rzeczypospolitej, a dopiero pod wpływem dzieł w języku polskim – cały obszar tych ziem. W świadomości społecznej jako kresy nie utrwaliły się natomiast ziemie północno-

wschodnie; ziemie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Sam autor podkreśla, iż „zamieszkiwali je Polacy o poczuciu silniejszego regionalizmu”, a także, iż „powolny był proces identyfikacji Litwy z Kresami, nasilony dopiero po 1918 r.” (s. 92).

Interesująco autor przedstawił przemianę mitu kresowego w okresie 20-lecia międzywojennego, podkreślając upowszechnienie problematyki kresowej w dziełach literackich. Nie wyraził też zgody na sformułowanie Józefa Piłsudskiego: „wszystkie narody mają swoje kresy”, pisząc, iż „różne narody i państwa miały swoje pogranicza gdy tylko „Najjaśniejsza Rzeczpospolita” miała owe Kresy” (s. 203). W tym świetle, a więc „Kresy jako mit odbudowy rycerskiej wielkości narodu” (s. 205), można zrozumieć słowa autora, iż „kres Kresów” nastąpił wraz z uderzeniem wojsk sowieckich we wrześniu 1939 r., przypiętowany ugodą jałtańską w lutym 1945 r. (s. 206-7).

Terminy „kresy”, „kresowy”, itp. jednak, o czym autor napomyka, jako element naszej tradycji politycznej i kulturalnej zachowały się wśród rozproszonych po Polsce i za granicą emigrantów, uchodźców i przesiedleńców. Po zakończeniu drugiej wojny światowej oznaczały również jeden z istotnych czynników braku zgody na zabór ziem wschodnich w układach jałtańskich. Tradycja ta, zakazana w PRL, tliła się w różnych formach, o czym świadczy żywiołowe powstanie licznych stowarzyszeń kresowych od końca lat 80. w wielu miastach polskich. Powodzeniem cieszą się również pamiątki i utwory literackie powstałe na wychodźstwie, a obecnie i u nas w Polsce. Zasługą uchodźców polskich żyjących w wielu krajach było utrzymanie i przekazanie nam kresowej tradycji. „Nam” oznacza: nie tylko jednostkom pochodzącym z ziem utraconych.

Idea kresowa zarażała od dawna wielu, nie tylko mieszkańców ziem granicznych. Sam W. Pol (1807-1872), geograf, poeta, pisarz, zwolennik teorii pradawnej kolonizacji obszarów nad Dnieprem, Dniestrem i Dźwiną przez Polan z Mazowsza, był wszak synem Niemca z Warmii (Pohla, nobilitowanego w 1815 jako von Pohlenburg) oraz Eleonory Longschamps (z kupców lwowskich). Wykształcony na Lwowskim Uniwersytecie. W 1830 na uniwersytecie w Wilnie lektor języka i literatury niemieckiej, walczył jako oficer w powstaniu listopadowym pod dowództwem Dezyderyego Chłapowskiego. Prześladowany, nie miał stałej pracy; w 1849 r. objął pierwszą polską katedrę geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ze względu na brak badań, nie można również przedstawić postaw b. kresowiaków w Polsce po 1945 r. Dla wielu z nich, osiedlonych poza obozem krajów komunistycznych, sprawa kresów stała się ich sprawą osobistą, uczuciową, jak w dyskusji w Poznaniu, w październiku 1995 r., orzekli najmłodsi dziś wiekiem – urodzeni na Kresach, zamieszkali zaś w Anglii w Nottingham – Maria Bogdaniec Polkowska i jej mąż Zdzisław. Zapewne zmniejsza się liczba stojących nadal niezłomnie na anty-

jałtańskim stanowisku, prezentowanym m.in. przez władze rządu RP na uchodźstwie w Londynie. Mało znana jest ich działalność w europejskich instytucjach oraz organizacjach działających na rzecz federacyjności europejskich organizmów.

Tradycja kresowa wiązała również wszystkich przybyłych do Polski drogą cierpienia po drugiej wojnie światowej. Byli „inni”. Jak zaakceptowali Polacy z wielu dzielnic Polski „Kresy” w swych obejściach, w gminach, w miejscach publicznych, we własnych rodzinach? Wielu to kocha, wielu się izoluje, inni pogardzają. Jak tu bowiem uzasadnić, czego sama doświadczyłam, tak ostry podział postaw byłych Kongresowiaków i mieszkańców zaboru pruskiego. Ze są zwolennikami Polski piastowskiej i jagiellońskiej to za mało. Czy takie podziały i lekceważenie wzajemne występuje nadal w starszym pokoleniu? A co czują młodzi na dźwięk słowa „kresy”?

Najmocniej przywiązani do tradycji kresowej są polscy emigranci. Przybyli głównie do Anglii (poprzez Indie, Iran, Irak, Turcję, Egipt, Afrykę, Włochy), ale i do innych krajów, uwolnieni po układzie Sikorski – Majski. W Anglii najwcześniej uformowali oni Związek Ziem Południowo-Wschodnich RP w Londynie, istniejący do dziś dnia. Według Informatora Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (Londyn 1997/1998) działają również w Wielkiej Brytanii: Ognisko Rodzin Osadników Kresowych, Towarzystwo Przyjaciół; Koło Lwowian, Koło Stryjan, Koło Stanisławowian; Uniwersytetu Polskiego w Wilnie. Związek Ziem Północno-Wschodnich istniał dawniej, a byli mieszkańcy tych ziem w Anglii należą do stowarzyszeń pokrewnych. Na uchodźstwie, głównie w Anglii i Ameryce, powstawały m.in. dalsze prace uczonych, historyków z Wilna. Po wojnie w Londynie działała wileńska uczelnia im. Stefana Batorego i wychodziło pismo „Alma Mater Vilnensis”. Pracom O. Haleckiego, W. Wielhorskiego oraz J. Jasnowskiego, najstarszego dziś żyjącego historyka, wiele zawdzięczam. Umocniłam moją „kresowość”, nie wrodzoną a nabytą wraz z tradycjami z Kongresówki i lekturą 420 tytułów książek J. I. Kraszewskiego (wyliczenie wraz z nagrodą z Biblioteki Publicznej w Kole w latach gimnazjalnych). Zajmuję się od 30 lat tematyką Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Na zakończenie zastanawia mnie kwestia zrozumienia i rozpowszechnienia w świadomości społecznej pojęcia „Kresy”. Czy ogranicza się dziś tylko do miejsca pochodzenia niektórych z nas, mieszkających również w Zielonogórskim. Czy mamy świadomość wspólnoty dziedzictwa wielokulturowego, a jeśli tak, to czy rozumiemy przyczyny nieufności do nas Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Sądzę, iż omawiana książka, ze względu na podkreślenie autora, iż o trwaniu tradycji kresowej zadecyduje taka o niej refleksja, która posłuży wzajemnemu zrozumieniu i porozumieniu, rozpoczyna taką epokę.

Maria Barbara Topolska

HARCERSKA opowieść

Wiktor Tadeusz ur. w 1920 r. pionier Zielonej Góry w 1946 r. przybył tutaj wraz z żoną Urszulą, z domu Parużyńską, z Janowca Wielkopolskiego. Jest to niewielkie, ale ładne miasteczko nad rzeką Wełną, między Gnieznem a Wągrowcem, blisko Biskupina. Spędził w nim całą swoją młodość. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że od 1929 r. związał się z istniejącą w Janowcu drużyną ZHP im. Leszka Białego, którą założył ówczesny wikariusz parafii janowieckiej ks. Stanisław Sobociński.

Dziś już wiemy, jaki wpływ na moralne i patriotyczne postawy młodzieży w dwudziestolecie międzywojennym miała organizacja harcerska. Sprawdziły się one w czasie wojny i okupacji niemieckiej. I w tym klimacie wyrastał druh Wiktor, który w maju 1939 r. (do września 1939 r.) rozpoczął pracę w janowieckim ratuszu. Po wkroczeniu Niemców do Janowca, który teraz zaczął nazywać się Jannowitz, drużyna im. Leszka Białego została rozwiązana, ale jej członkowie nie zaprzestali kontaktów między sobą. Mimo iż tutaj, podobnie jak w całej Wielkopolsce, zaczął się hitlerowski terror, pierwsze aresztowania wg wcześniej przygotowanych już list, wysiedlenia, przejmowanie majątków i mieszkań. Represje dotyczyły przede wszystkim janowieckiej inteligencji, ale też co bardziej znaczących obywateli.

Młodzi nie ulegli poczuciu klęski. Już zimą 1939/1940 Wiktor Tadeusz wraz z druhem Sewerynem Szocińskim przewieźli saniami konnymi ze Żnina do Janowca sprawny aparat radiowy, z którego prowadzono w tajemnicy nasłuch audycji z Anglii i Francji. Aparat przechowywany był w domu p. Tadeusza przy ul. Kościuszki 27 (obecnie 18), a po kilku miesiącach został przeniesiony do domu p. Szocińskich.

Ale najważniejszym wydarzeniem, w którym uczestniczył Wiktor Tadeusz, było wykradzenie z wieży janowieckiego ratusza skonfiskowanego w 1939 r. przez Niemców sztandaru drużyny ZHP im. Leszka Białego. Píše o tym w wydanych z okazji 80-lecia drużyny „Harcerskich Wiadomościach Janowieckich” on sam:

Sztandar otrzymaliśmy w 1934 r. Pieniądze dała Komenda Chorągwi ZHP w Bydgoszczy, częściowo pochodziły też z własnych składek. Mało kto mógł sobie pozwolić wtedy na taki sztandar... Wczesną wiosną 1940 r. dh Leonard Dąbrowski, mój najlepszy i nieodżałowany kolega, pracował w grupie malarzy przy odnawianiu pomieszczeń ratusza. Ja natomiast pracowałem jako szklarz w budynku dawnej firmy „Plon” naprzeciw ratusza, gdzie

obecnie mieści się Ośrodek Zdrowia. Nadzorcą prac z ramienia NSDAP był Niemiec Reinke... Pewnego poranka w czasie przerwy śniadaniowej wpadł do mnie kolega Dąbrowski i entuzjastycznie oznajmił, że w pomieszczeniu wieży ratuszowej znajduje się nasz sztandar i że gotów jest go wynieść. Przekonałem go, aby tego nie robił, gdyż jest Niemcom znany i może być obserwowany. Poradziłem mu, aby z pracy wychodził zawsze porożpinany i tak, aby widzieli go Niemcy. Ja natomiast w pierwszy deszczowy dzień odpowiednio ubrany wejść do ratusza i sztandar wynieść pod odzież. O powyższym wiedzieli, oprócz nas dwóch, moja mama i brat Stanisław, który przypadkowo wpadł na strych, kiedy ja z mamą wydobywaliśmy sztandar spod mego ubrania. Na drugi dzień wiadomością tą podzieliliśmy się z bratem Leonem i dh Szocińskim. Sztandar ukryliśmy wraz z innymi rzeczami, jak albumy, odznaczenia ojca, mundurki harcerskie, w skrytce pod podłogą naszego domu, zaś w końcu 1941 r. przekazaliśmy na dalsze przechowanie dh Sewerynowi Szocińskiemu (z zajmowanego budynku Tadeuszowie zostali przez Niemców eksmitowani). Różne były losy tego sztandaru, zmieniał jeszcze miejsca przechowania, ale dotrwał do końca wojny i nawet po wojnie tropiony



Wystawa z okazji 80-lecia ZHP w Janowcu Wielkopolskim.
17 maj 1997 r.

był przez UB, w okresie gdy w 1949 r. działalność drużyny została zawieszona.

Odnalezienie i zabezpieczenie sztandaru to nie był jednorazowy wyczyn grupy janowieckich harcerzy. Zimą 1940 r. w mieszkaniu W. Tadeusza odbyło się organizacyjne zebranie komórki Szarych Szeregów ZHP. Uczestniczyli w nim: W. Tadeusz ps. Pinkus, L. Dąbrowski ps. Menacha, B. Tycner ps. Tymuch, S. Szociński ps. Sewer, K. Frankowski ps. Franuś, Z. Szmidt ps. Grubas. Po wysłuchaniu hymnu narodowego z radia francuskiego i zaprzysiężeniu ustalono program działania polegający m.in. na ustalaniu nazwisk niemieckich morderców i polakożerców, ustaleniu miejsc grobów pomordowanych Polaków, ustaleniu osób, które zgłosiły chęć wpisania się na tzw. volkslistę, ustaleniu planu działań sabotażowych i dywersji, polegających m.in. na sypaniu piasku i opiłków metalowych do łożysk wagonów kolejowych, niszczeniu trakcji elektrycznej, sieci i urządzeń telekomunikacyjnych, niszczeniu maszyn rolniczych pozostawionych w polu, rozrzucaniu na drogach gwoździ metalowych, „raczków”, na których rozkraczały się niemieckie samochody.

Nic też dziwnego, że spowodowało to wściekłość niemieckiej policji i aresztowanie w jednej z takich akcji W. Tadeusza i L. Dąbrowskiego. W dniu 26 czerwca 1941 r. Sąd Specjalny (Sondergericht) w Inowrocławiu skazał ich na pół roku więzienia (czego długo nie byli w stanie pojąć) i wywózkę do pracy przymusowej: Tadeusza w głąb Niemiec w okolice Wittenberga, zaś Dąbrowskiego do Włocławka, gdzie pracował w przemyśle drzewnym. Pozostali w Janowcu harcerze nie zaprzestali działalności konspiracyjnej. Jak wspomina Zdzisław Szmidt, który pracował w czasie okupacji w drogerii Schwarza, organizowali wspólnie z Janiną Pawlakówną i Henrykiem Ojczenaszem środki opatrunkowe i witaminy dla więźniów ciężkiego więzienia w Fordonie, na czym został pochwyceny przez gestapo i osadzony w obozie karnym w Żabikowie k. Poznania. Szmidt występował po wojnie w Prokuraturze NRD posługując się zebranymi przez organizację materiałami dowodowymi przeciwko mordercy Polaków Koertowi z Janowca Wlkp.

O tych trudnych latach pełnych poświęcenia i patriotycznego zaangażowania w walkę na miarę sił i możliwości z okupantem wspominali w czasie uroczystości 80-lecia swojej drużyny, jakie odbywały się w ub. roku, najstarsi harcerze. Zjechali oni w maju z całej Polski a także z zagranicy. Wśród nich znaleźli się bracia Zygmunt i Edmund Tadyszakowie, z których pierwszy mieszka w Belgii, drugi zaś w USA. 17 maja zuchy, harcerze i seniorzy DH im. Leszka Białego udali się do Marcinkowa Górnego, by u stóp pomnika swego patrona złożyć wiązanki kwiatów. W drzewce sztandaru, który drużyna otrzymała w 1934 r., wbito symboliczne gwoździe ufundowane przez seniorów, także przez Wiktora Tadeusza. Po powrocie z Marcinkowa wszyscy wzięli udział we mszy św. w kościele św. Mikołaja odprawionej w intencji

poległych i zmarłych harcerzy, powstańców wielkopolskich i obrońców Ojczyzny. Po mszy w klubie „Komoda” otwarto wystawę „80 lat w służbie ZHP”. Wystawa obrazowała m.in. historię drużyny. 24 maja był dalszy ciąg uroczystości, na które zjechały drużyny harcerskie z Poznania, Mieściska, Żnina, Domasławka, Mogilna. Łącznie w zlocie jubileuszowym wzięło udział ponad 300 harcerzy, którzy uczestniczyli w harcerskiej mszy polowej odprawionej przez ojca jezuitę z Poznania ks. prof. Jerzego Szelmeczka i ks. Józefa Kłapiszewskiego. Homilię wygłosił ks. pdhm Przemysław Kodzik z Mogilna. Odbyła się też „Zbiórka o 17.00”, czyli spotkanie wszystkich harcerzy seniorów, w trakcie którego I DH im. Leszka Białego odznaczona została medalem Za Zasługi dla Chorągwi Bydgoskiej ZHP.

We wszystkich tych uroczystościach uczestniczył Wiktor Tadeusz, który od ponad 40 lat mieszka w Zielonej Górze. Do dzisiaj nie zrywa z Janowcem, choć w 1946 r. musiał go opuścić. Przez 27 lat pracował w LWVG m.in. na odpowiedzialnym stanowisku kierownika Działu Zbytu i ponad 16 lat w Wydziale Lustracji Oddziału Centrali PSS „Społem” w Zielonej Górze. Ale z największą satysfakcją opowiada o swej janowieckiej młodości.

Wiesław Nodzyński



Pierwszy z prawej strony Wiktor Tadeusz – harcerz, drugi Zygmunt Tadyszak zamieszkały w Belgii – harcmistrz.

SÓL ŻYCIA

Helena Smarzyńska, z domu Polańska, należy do tych licznych Polaków ze Wschodu, których losy sięgają w głąb Rosji, urodziła się bowiem 17 lipca 1917 roku w Samarze. Rewolucyjna zawierucha zmusiła rodzinę do przemieszczenia się (co nie było łatwe) na tereny zachodniej Białorusi, które po wojnie polsko-bolszewickiej przypadły Polsce, w okolice Lidy. Ojciec p. Heleny dążył jeszcze walczyć wspólnie z Piłsudskim pod Kijowem, ale umarł młodo, mając 37 lat. Wychowywała się pod opieką matki. Uczyła się w szkole ojców Pijarów w Lidzie. I Lida, i jej okolice stała się miejscem jej dłuższego tutaj pobytu, gdyż w 1937 r. wyszła za mąż za Walentego Smarzyńskiego, który jako Wielkopolek i zawodowy żołnierz został tu przerzucony do służby w Korpusie Ochrony Pogranicza. Był dowódcą strażnicy na polsko-sowieckiej granicy. Jak wspomina p. Helena, żyło im się nieźle. Pracowała w PSS „Społem” w Lidzie. Ale niedługo, bo jak wiemy, 17 września wkroczyli tu Sowieci. Wkrótce znaleźli się na listach ludzi przeznaczonych do wywózki (przede wszystkim oficerowie WP, KOP, nauczyciele, urzędnicy, księża) i pierwszym transportem, tylko z podręcznym bagażem, w towarowych wagonach, pojechali na wschód. Stalin brał odwet za wyprawę na Kijów i Cud nad Wisłą. Smarzyńscy byli wśród tych, którym nie brakło odwagi i determinacji i zaraz kiedy pociąg ruszył, zaczęli drążyć wraz z innymi otwór w podłodze wagonu. Był już gotowy, gdy pociąg zatrzymał się na krótki postój w Szczuczynie. Pod osłoną nocy, ryzykując wiele, przez ten otwór wydostali się na zewnątrz. W pobliżu był las. To było moje najbardziej dramatyczne doświadczenie – mówi p. Helena. Wędrowali przez ten las cały tydzień w kierunku byłej polskiej granicy. Najgorzej było w nocy. Nawet ich nie zdziwiło, że była ona nadal strzeżona, wzdłuż jej linii nadal stały tzw. „majaki”, obsadzone przez



Wilno 1942 r.
– pani Helena z córką.

strażników. Za opłatą przewodnika, nocą przez rzekę, której nazwy p. Helena nie pamięta, dostali się na drugą stronę. Po jakimś czasie znaleźli się w Wilnie. Lida nie była już dla nich bezpieczna. Od momentu ucieczki była to droga przez mękę, kwituje ten rozdział w swoim życiu p. Helena, tym bardziej że miała ze sobą małe dziecko. Ale dzieci w biedzie chowają się dobrze – uzupełnia takim komentarzem to, co powiedziała. Znalazło się mieszkanie przy pomocy wileńskich Po-

laków. Na życie zarabiał mąż Walenty pracując w lasach państwowych w okolicy Orli nad Niemnem. W 1943 r. postrzelili go Niemcy w czasie oblavy na partyzantów. Wilno wspomina dobrze, zwłaszcza urodę jego architektury, szczególnie kościołów, których nie sposób policzyć. Gorzej mówi o współżyciu z Litwinami. Często nie można było się przyznać, że jest się Polakiem. Ale języka litewskiego nie nauczyła się, choć do dzisiaj pamięta pojedyncze słowa, niezbędne kiedyś do życia.

W 1945 r. znaleźli się na liście chcących wyjechać do Polski. Mąż p. Heleny miał rodzinę w Miłostawiu, w Wielkopolsce. Dotarli tam po dłuższym czasie. Jednak nie było to dla nich miejsce do życia, zwłaszcza że wrócił po wojnie brat p. Walentego, który objął rodzinne gospodarstwo rolne. Więc znowu ruszyli w podróż. Wybór padł na Zieloną Górę, bo tam były mieszkania i możliwości pracy. Pierwsze z nich było przy dzisiejszej ul. Dąbrowskiego, które jednak zamienili na mieszkanie przy ul. Widok. Tam też przez jakiś czas prowadzili sklepik spożywczy. Kiedy przestało się to opłacać, w okresie „bitwy o handel”, p. Helena zatrudniła się w zielonogórskiej PSS „Społem”, gdzie kierowała działem socjalnym, mąż zaś znalazł pra-



1946 r. – państwo Smarzyńscy.

cę w Pagedzie (Państwowa Agencja Drzewna) – widocznie ułatwiła mu to robota w nadniemeńskich lasach. Później przeszedł także do pracy w PSS. Nie żyje już jednak od 16 lat. Z samego faktu pracy p. Heleny w dziale socjalnym PSS, w którym pracowała około 30 lat niewiele by wynikało, gdyby nie pasja społecznikowska i organizatorska. Tworzyła i prowadziła liczne stołówki pracownicze w mieście, na spółdzielczych koloniach, największą w ośrodku czasowo-kolonijnym w Pachliczku, z którego korzystali pracownicy 17 spółdzielni w województwie. Była i jest osobą znaną w mieście. Przez wiele lat była ławnikiem Sądu Rejonowego w Zielonej Górze, angażowała się w tworzenie szkoły muzycznej, wchodziła w skład zarządu Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry, z którego wyłoniło się Stowarzyszenie Pionierów, w zarządzie którego była też parę lat. Nie należała do żadnej partii politycznej, a przecież chlubi się Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, jakim uhonorowana została ze wieloletnią pracą zawodową i społeczną. Zna wielu ludzi, z wieloma się przyjaźni. Od 1987 r. mieszka w schludnie urządzonej mieszkanie na osiedlu Pomorskim. I tu, mimo swoich 80 lat, chętnie pomaga sąsiadom, które też jej się rewanżują. Jest to przykład dobrze współżyjącej ze sobą mikrosocjeczności. O takich ludziach mówi się, że stanowią oni sól życia.

Wiesław Nodzyński

Zbigniew Bujkiewicz KANCELARIE NOTARIALNE

„Działo się w Rzeczypospolitej Polskiej w mieście Zielonej Górze Ziemi Lubuskiej w Województwie poznańskim dnia... Przede mną notariuszem Józefem Stachurskim, mającym swoją urzędową siedzibę w gmachu Sądu Okręgowego w Zielonej Górze przy Pl. Słowiańskim Nr 1, jawili się osobiście mi nie znani...”

Taką formułą były opatrywane pierwsze polskie akty notarialne w Zielonej Górze a pierwszą kancelarię notarialną otworzył po wojnie sędzia Józef Stachurski w czerwcu 1946 roku. Minister sprawiedliwości postanowieniem z dnia 27 maja 1946 roku powierzył mu pełnienie obowiązków notariusza. O organizacji notariatu informują nas dzisiaj nieliczne dokumenty, w tym najstarsza księga przychodów i rozchodów notariatu za lata 1946-1947. Pod datą 15 czerwca 1946 roku widnieje w niej pierwszy wpis – po stronie rozchodów – „porto pocztowe zawiadomień o otwarciu notariatu – 30 zł”, następny wpis w tej samej rubryce z dnia 22 czerwca to „koszty podróży do Izby Notarialnej [w Poznaniu] – 550 zł”. Pozostałe wpisy w miesiącach czerwcu i lipcu 1946 roku dotyczyły wydatków na cele organizacyjne: zakup pieczętek, blankietów i na korespondencję z Izłą Notarialną w Poznaniu. 2 sierpnia 1946 roku Józef Stachurski opłacił kartę rejestracyjną notariatu nr 293 na kwotę 212 zł. Czynności organizacyjne dopełniła rejestracja księgi przychodów i rozchodów przez Radę Notarialną w Poznaniu wpisem na końcu księgi: „L. dz. 142. Niniejsza księga przychodów i rozchodów p.o. notariusza Józefa Stachurskiego w Zielonej Górze na rok 1946/47 zawiera 99 ponumerowanych, przesnurowanych i oparafowanych kart. Poznań dnia 12 lipca 1946r. Rada Notarialna w Poznaniu”.

Pierwszym wpisem po stronie przychodów, a zarazem pierwszą czynnością notarialną w dziejach polskiego notariatu w Zielonej Górze, była legalizacja podpisów gwarancji bankowej. Kolejne wpisy za czynności notarialne dotyczyły udzielenia pełnomocnictw szczegółowych, pełnomocnictw procesowych, poświadczenia zgodności podpisów i odpisów. Notariusz Józef Stachurski zarejestrował i rozpatrzył w 1946 roku 351 spraw. W dwu-

dziestu przypadkach zakończyły się one wystawieniem aktu notarialnego. Pierwszy akt notarialny wystawiony przez Józefa Stachurskiego nosi datę 5 lipca 1946 roku i dotyczy poświadczenia dziedziczenia po zmarłym rolniku z miejscowości Ploty.

Spośród pozostałych 19 aktów notarialnych z 1946 roku najwięcej jest tych, które dotyczą pełnomocnictw szczegółowych, udzielanych w celu sprzedaży nieruchomości położonych w innych regionach kraju. Ponadto umowy o przysposobienie, ugody i jedna umowa spółki z ograniczoną odpowiedzialnością – Przedsiębiorstwa Przewozowego „Pośpiech” sp. z o.o. z Gubina (spółka funkcjonowała niecałe dwa lata).

Prawo o notariacie nakazywało notariuszowi opracowanie aktów notarialnych w porządku chronologicznym po upływie każdego roku kalendarzowego. Również Józef Stachurski opisał sporządzone przez siebie akty notarialne z lat 1946-1947 w księgę u znanego i długoletniego zielonogórskiego introloga St. Szymaniaka posiadającego swój zakład przy ówczesnej ul. 3 Maja 96 (obecna ul. Jedności).

Józef Stachurski urodził się 6 marca 1889 roku w Nahorach Małych w województwie łwowskim. Był absolwentem Wydziału Prawno-Politycznego Uniwersytetu we Lwowie. Przed wybuchem wojny pracował jako naczelnik Sądu Grodzkiego w Starym Samborze. W dniu 5 maja 1945 roku rozpoczął pracę jako sędzia w Sądzie Okręgowym w Lesznie. Stamtąd przeniósł się na początku sierpnia 1945 roku do Zielonej Góry. W oparciu o decyzję prezesa Sądu Apelacyjnego w Poznaniu z dnia 7 sierpnia 1945 roku został delegowany do organizacji Sądu Okręgowego w Zielonej Górze. Był pierwszym sędzią a zarazem pełniącym obowiązki prezesa Sądu Okręgowego w Zielonej Górze. Przy organizacji sądu pomagali mu: Mikołaj Banach – starszy woźny Sądu Grodzkiego w Lesznie, Piotr Kuprys – starszy rejestrator Sądu Okręgowego w Poznaniu i Stanisław Szafranski – praktykant Sądu Grodzkiego w Poznaniu. Z dniem 2 lipca 1946 roku Józef Stachurski został mianowany wiceprezesem Sądu Okręgowego, którą to funkcję pełnił do końca listopada 1947 roku, do czasu kiedy został przeniesiony w stan spoczynku. Kancelarię notarialną prowadził natomiast do 1949 roku. Józef Stachurski był ponadto aktywnym działaczem politycznym i społecz-

nym – członkiem pierwszej Rady Parafialnej przy kościele pw. św. Jadwigi, członkiem Rady Miejskiej i współzałożycielem Stronnictwa Demokratycznego w Zielonej Górze.

Ogółem w latach 1946-1951 działały w Zielonej Górze cztery kancelarie notarialne. Oprócz Józefa Stachurskiego prowadzili je sędziowie: Jan Meysner (w latach 1947-1949), Władysław Fiebig (w latach 1949-1951) i Edmund Wierzchowski. (w 1951 roku). Ich działalność oparta była na prawie o notariacie z 1933 roku. W prawie tym czynności notarialne zostały określone w następujący sposób: „Notariusz wykonywa czynności zlecone mu prawem, a w szczególności: sporządza akty notarialne, wydaje wypisy i odpisy, sporządza poświadczenia, doręcza oświadczenia stron, spisuje protokoły, protestuje weksle, czek, inne dokumenty, pieniądze lub papiery wartościowe”. W 1951 roku, na mocy nowego prawa o notariacie, kancelarie notarialne zostały upaństwowione, a izby notarialne, reprezentacje samorządu notarialnego, zostały zlikwidowane. Powstały wówczas państwowe biura notarialne.

Edmund Wierzchowski, jako ostatni samodzielny notariusz, prowadził kancelarię notarialną przez krótki okres czasu, od września do końca grudnia 1951 roku. Na początku 1952 roku podjął pracę na stanowisku notariusza w Państwowym Biurze Notarialnym w Zielonej Górze. Funkcję tę piastował do czasu przejścia na emeryturę w 1970 roku.

Edmund Wierzchowski urodził się w 1904 roku w Poznaniu-Kiekrzu. Studia prawnicze odbył na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Po odbyciu aplikacji sądowej w Poznańskim Sądzie Apelacyjnym, przeniósł się do pracy w Bydgoszczy, gdzie z czasem awansował na stanowisko wiceprokuratora Sądu Okręgowego. W 1940 roku został aresztowany przez gestapo w Poznaniu i osadzony w obozie koncentracyjnym (Dachau, Mauthausen-Gusen). Po kuracji leczniczej, jaką przeszedł w szpitalu w Linzu, powrócił w listopadzie 1947 roku do kraju i zgłosił swoją gotowość do służby w sądownictwie. Decyzją ministra sprawiedliwości z dnia 30 stycznia 1948 roku został powołany do pełnienia obowiązków sędziego Sądu Okręgowego w Zielonej Górze. Na stanowisku tym pracował do 31 maja 1951 roku. W latach 1952-1958 pełnił funkcję kierownika Państwowego Biura Notarialnego. Później długoletnimi kierownikami biura byli Stanisław Matczyński i Stanisław Włodyga.

Po blisko 40 latach prawo o notariacie z 1951 roku zostało uchylone a państwowe biura notarialne uległy likwidacji. W Zielonej Górze powstało pięć nowych kancelarii notarialnych. Prowadzą je notariusze: Adriana Miśkiewicz, Katarzyna Hańska i Katarzyna Kaczanowska, Aleksandra Romanowska, Roman Śmiałek oraz Julita Żukowska.

Rozmyślania po północy

Jestem emerytem!

Wczoraj (16.01.br.) Pan Profesor Marian Miłek, Wojewoda Zielonogórski, przedstawił pracownikom Muzeum nowego dyrektora, zaprzyjaźnionego z tą placówką od lat, dr Andrzeja Toczewskiego. Kiedy w roku 1956 rozpoczynałem pracę wraz ze Staszkiem Kowalskim, także historykiem sztuki po UAM w Poznaniu, u wojewódzkiego konserwatora zabytków, Pani mgr Krystyna Klęsk była już emerytką. Wtedy Wojewódzka Rada Narodowa mieściła się na placu Słowiańskim, a Wydział Kultury w tych pomieszczeniach, gdzie obecnie ma siedzibę Wojewódzki Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Sędzią tegoż sądu jest były prokurator, a nade wszystko poeta dr Tadeusz Sojka. Czy wobec tego budynek na placu Słowiańskim nr 5 to nie miejsce niezwykle, może magiczne? Poeta zasiada w tych samych pokojach, w których pracowali artyści i konserwatorzy, Klem Felchnerowski, Halina Byszewska-Skibowa i historycy sztuki. Tutaj właśnie Pani Krystyna pracując na pół etatu tłumaczyła niemieckie kroniki. – Ile może mieć lat Pani Magister? – zapytałem mojego szefa. – Trudno powiedzieć – zastanowił się Klem. – Ale zna tak dobrze rozbić dzielnicowe, że chyba trzymała do chrztu Krzywoustego.

* * *

Wielce Szanowna Pani Magister. Kiedy Staszek i ja pod okiem niezwykłego szefa rozpoczynaliśmy po kilkunastu okrażeniach uniwersyteckiego stadionu wybiegać na prostą, Pani już kończyła w znakomitej formie bieg w maratonie kultury.

W roku 1956 żyłem tak intensywnie przygodami w zawodzie, iż mówienie, że i mnie emerytura kiedyś dopadnie, byłoby wręcz śmieszne. Teraz gdy patrzę w moje zapiski z tamtych lat, to jawią się one jako lekko przysmucone ćwiczenia z nostalgii. Jest jednakże pocieszeniem fakt, że pamięć, według Gabrieli Margueza, „to sprawność ludzka, która wywiera na nas największy wpływ i najbardziej nas uspakaja”.

* * *

Zapiski na gorąco

Prof. Zygmunt Dulczewski: Pani Klęsk studiowała przed wojną socjologię u prof. Floriana Znanieckiego. Jego asystentem był w latach dwudziestych Tadeusz Szczurkiewicz, wybitny filozof później, a wtedy kolega Pani Krystyny. Gdy prof. Szczurkiewicz został kierownikiem Katedry Socjologii, Panią Klęsk zaprosił na swoje seminaria. Przyjeżdżała do Poznania i czynnie w nich uczestniczyła. Ja byłem wtedy asystentem u prof. Szczurkiewicza i Panią Klęsk wspominam jako damę w średnim wieku. Gdy zostałem szefem socjologii w Poznaniu, te kontakty się urwały. W książce wydanej w roku 1980 z okazji 60-lecia socjologii w Poznaniu pod redakcją prof. Andrzeja Kwileckiego w spisie słuchaczy Floriana Znanieckiego Pani Klęsk została odnotowana. To znaczy, że wypełniła kartę wpisaną na Uniwersytet w okresie międzywojennym. Te karty się zachowały. A w nich zawarta jest obszerna informacja dotycząca biografii kandydata na studia. Wtedy bardzo mało kobiet studiowało. Nie jestem jednak pewny, czy swoje wykształcenie uwieczniła tytułem magisterskim.

* * *

Pani Krystyna od początku pracowała, a właściwie tworzyła placówkę muzealną. Dr Barbara Kołodziejska, twórczyni Muzeum Etnograficznego w Zielonej Górze, wie, że Pani Klęsk studiowała także etnografię u prof. Edwarda Frankowskiego, że miała bogatą na ten temat wiedzę, że była osobą o szerokich zainteresowaniach i bardzo uczynną. Pani Barbara Kołodziejska z czułością mówi o czasach, gdy tworząc zrzęby etnografii w naszym województwie miała w Jej osobie jedyną wówczas kompetentną rozmówczynię.

Dr Grzegorz Chmielewski wraz ze Stefanem Pierzyckim jako pracownicy Muzeum Narodowego w Poznaniu w roku 1950 organizowali w zielonogórskim muzeum przy ulicy Szkolnej (dzisiaj Lisowskiego) wystawę pt. „Sztuka graficzna i jej rola społeczna”. Pani Krystyna Klęsk uczestniczyła w organizacji ekspozycji. Grzegorz Chmielewski poznał wcześniej Panią Klęsk, gdyż jako pracownik muzeum jeździła na comiesięczne odprawy do Muzeum w Poznaniu.

* * *

Zapiski na gorąco

Dr Grzegorz Chmielewski: Panią Magister wspominam jako osobę wewnętrznie niezdyscyplinowaną, ręce miała stale zajęte jakąś pracą. Podobał mi się jej głos. Poprawnie i ładnie mówiła, być może dlatego, że była bardzo muzykalna. Jako pracownik naukowy była pełna dobrej woli i bardzo pracowita. To Ona w roku 1950 na odprawie w Poznaniu wniosowała, aby w zielonogórskim muzeum utworzyć oddział badań prehistorycznych, czemu nie należy się dziwić, jako że osobiście знаła Józefa Kostrzewskiego i konsultowała się z Nim w Poznaniu. Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza w tym postulacie winno widzieć swoją genezę popartą ogromnym wysiłkiem dr Adama Kołodziejskiego i Jego kolegów archeologów.

* * *

Zachowałem liczną korespondencję od Pani Magister. Oto jej ślady: Fragment listu z dnia 16.12.1965 r., w którym pisze: *Z odmrożonymi jednak palcami pracować piórem nie można.* Kolejny: pt. Niedoradz, 23.06.69. Sz. P. Mgr – W. nawiązaniu do ostat. rozmowy telefonicznej, up. podaję, że w dzień jestem w domu albo nie, natomiast murowanie w domu od 17-tej, poza tym jestem nieobliczalną, albowiem moja głowa zależy od nóg, z którego to powodu mój przyjazd taks. na Wiśniową nie da się chwilowo zrealizować. Załączam pozdrowienia dla wszystkich. Krystyna Klęsk.

Zapiski na gorąco

Mgr Jerzy Łatwiński, długoletni przewodniczący Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Zielonej Górze: Dwudziestego maja 1946 zebraliśmy się, aby założyć Tow. Krajoznawcze. Pani Magister była w zarządzie od 1946 do 1951. Moja opinia jest bardzo pozytywna, a może ją potwierdzić Pani Helena Mączewska: prezeska Oddziału przez kilka kadencji w Polskim Tow. Krajoznawczym. Pani Magister organizowała i oprowadzała wycieczki. Pamiętam Ją na pieszych trasach do Słonego, Kisielina, Świdnicy. W roku 1951 poprowadziła wycieczkę do Karolatu, to znaczy do zamku w Siedlisku. Była aktywnym członkiem naszego Towarzystwa. Uczestnicy wycieczek podziwiali Ją za wiedzę, humor i kulturę. Pani Magister była wyjątkowym piechurkiem. Drogę z Ługowa spod Niedoradza do pracy w Zielonej Górze z konieczności pokonywała pieszo.

* * *

Fragmenty z listu z dnia 28 XII 1965:

...co też Ona tam robi w tej głuchej puszczy, wśród dzików i wyjących wilków (na łańcuchach). Otóż muszę Panu napisać (niedawno czytałam, że ta „piękna sztuka” pisanie listów znikła już), że cudownie spędziłam święta. Nigdzie nie byłam i nikt mi nie dokuczał starością. Założyłam 2 żarówki 60-tki, gdy zegar stanął nie nakręcałam go. Na jednej szafce postawiłam fotografię z lat dziecińczych „przy choince”. na drugiej „szopkę” kolorową z przewagą zielonego. Aby nie pomylić z wielkanocną dla pewności ustawiłam... 3 pocztówki... [święteczne J.M.] Całość była świetna i przypominała kapitalną scenę w rodzaju „pokoik babuni”, w której Basia Ludwiżanka grała własną babkę... Palłam co dzień w piecu a do śledzia były pieczone ziemniaki. Radio było wyłączone, aby nie psuło nastroju ciszy i samotności... Kurki spały cichutko w kuchni a przez dzień biegały po ogrodzie. Widok na łąki i las przypominał wszystkie pory roku... był deszcz, śnieg i słońce...

Pani Krystyna pisze też w liście, co planują sąsiedzi zrobić po jej śmierci w domu i obejściu. Plany te bowiem są snute w jej obecności. Wreszcie cytuję życzliwą sąsiadkę: *– Niech pani jedzie leczyć się do sanatorium, bo tu wszyscy czekają na Pani śmierć. List kończy konstatacją: Perseusz – ten miał szczęście, bo mając skrzydła nie musiał spotykać nikogo z tych, co wółczą się po ziemi. A w nawiasie dodaje: po Ługowie.*

* * *

Bardzo Szanowany Panie Magistrze!

Jestem bardzo „bidna sirota”, więc oczywiście zwracam się do Pana, czy może Pan poradzić coś na te upały? Niegdyś, jak stwierdzali lekarze, miałam serce „jak u byka”. no i popsowa-



Pani Krystyna Klęsk i autor wspomnień, początek lat sześćdziesiątych.

to się. Tedy siedzę w czterech ścianach i nie mogę ruszyć w świat, czyli do Zielonej Góry. Byłam 28VII [1969r. J.M.], ale przy jakich udogodnieniach, w rezultacie wniosek o sanat. wniesiony – chodzi o Czerniawę i miesiąc październik. Może uwzględnią, bo życzenie ma poważne podstawy, o czym wiedzą wnioskodawcy, a przy okazji P powiem. – Powracam do sprawy pierwszej. Umówiliśmy z P mgr Kow. [Kowalskim J.M.], że jadąc do Głogowa, podwiezie mi książkę, potem beztrudno zmieniam tę „umowę” prosząc, by pozostawił w sąsiednim pokoju, a ja już przyfrunę. A czy wiedziałam, że w ciągu ostatnich 40 tysięcy lat istnienia świata, najsilniejsze upały przypadają dla nas właśnie w tym miesiącu? ja prasę czytam z opóźnieniem, niech się wiadomości wpięć utrwalą. No i utrwały się upały. Ad rem i co ja mam robić, wiadomo, jak nie wiem co, to piszę do Pana. Sierpień, wszyscy na urlopie, P Kow. [Kowalski J.M.], P Wanda [Janowska J.M.], P Jakóbek [Eugeniusz Jakubaszek J.M.] i moja opiekunka P Kazia [Kasprzak J.M., wymienieni w liście to pracownicy Wydziału Kultury WRN w Zielonej Górze J.M.]. Jestem zatem w niewesołym nastroju z kilku wymienionych tu i nie wymienionych przyczyn. Przepraszam, że swoją osobą zabieram Panu cenny czas. Załączam uprzejme wyrazy a dla miłych Pań w Pana otoczeniu, serdeczne pozdrowienia. Dnia 3.8.69 poczta Niedoradz, Ługowo 5. Krystyna Klęsk.

* * *

Limuzyną marki Trabant moja żona i dwie córki wiezione na wizytę w Ługowie traktowały jako przyjemną wycieczkę. Typowa wiejska zagroda, a w pokoju pianino. Obrazy na ścianach, a wśród nich portret z okresu międzywojennego Pani Krystyny i jej przodka, który, jak napisano w kronice, „ratując honor miasta” umiał się podpisać w roku pańskim 1730. W sieni, na drabinie kurki liliputy, a na najwyższym szczeblu kogucik z ogonem do ziemi. Wręcz bajkowa kompozycja. Dziewczynki dostawały kompot, a ja marynowane prawdziwki. Był jeszcze koncert i stoik zakonserwowanych grzybków z lubczykiem na drogę powrotną. Ten dom był świadectwem luksusu zamienionego na asceję przez system i zły los. Piękne przedmioty, biblioteczka, obrazy, pianino to ślady uduchowionego człowieczeństwa. Nawet maleńkie pamiątki, takie które można było przywieźć w jednej walizce, nadal poświadczały wysmakowany styl życia trawionego we wrogim środowisku i obezwładniającej biedzie. Los człowieka obco klasowego. To było takie upokarzające. Te wizyty związane były między innymi także z odbiorem pamiętnika, który pisała Pani Magister.

– Muzeum pierwszą placówką oświatową w Zielonej Górze. Nie wiem, został rozpoczęty, napisany, zakończony, gdyż zawsze był jakiś powód, że nie mogłem nawet zobaczyć rękopisu.

* * *

Zapiski na gorąco

Pani Magister dostarczała mi własnoręczne rysunki zabytków ze swoich wycieczek krajoznawczych – wspomina dr Stanisław Kowalski, wojewódzki konserwator zabytków sponad dwudziestoletnim stażem na tym stanowisku. Była to ciekawa twórczość. O ile drzewa zastaniały bryłę obiektu, Pani Krystyna pień drzewa pozostawiała na miejscu przesuwając jego koronę poza obiekt. Powstawały wówczas na poły abstrakcyjne „dziełka”. Moja pierwsza wycieczka do Zatonia odbyła się w towarzystwie Pani Magister, abym poznał najstarszą ruinę zabytku w rejonie Zielonej Góry – XIII wiecznego kościółka.

* * *

Szanowny Panie Magistrze – pisała do mnie Pani Krystyna 26 I 1966 (z Ługowa nr 5, poczta Niedoradz) – Powiedział Pan

„jeżeli w ciągu 10 lat nie napisze Pani pamiętnika, to później o pani będą wiedzieli tylko tyle, że »była taka«...”

Ostatnia korespondencja pochodzi z dnia 22 lutego 1972 roku. Jest w niej mowa o zerwanych kontaktach z Poznaniem i nieznanymi naczelnymi redaktorów: Nie znam tych panów, jedynie P Red. Młynarz zna mnie z fotogr. wykonanej w r. 1939.

Pani Magister w tym liście donosiła o swojej pracy badawczej i trudnościach w jej opublikowaniu.

* * *

Panią Magister pochowaliśmy w Raculi. Wtedy to był mały, wiewski cmentarzyk.

– Treść mego życia, moja młodość upłynęła w Poznaniu. Sądzę, że nawet po śmierci będę tęsknić do tamtych niezwykłych miejsc, jasnych placów, sentymentalnych parków, przemierzonych ulic i ukochanych budowli. Tutaj nie mogę niczego zapamiętać.

To były rozmowy, których wtedy nie rozumiałem, nie docierał do mnie ich głęboki sens. Teraz to osamotnienie Pani Krystyny wzrusza mnie i napełnia dramatyczną pewnością, że pracą, nawet wytężoną, nie można uciszyć tęsknoty serca. Lepiej rozumiem dr. Tomasza Florkowskiego, który w swoich radiowych rozmowach taką wagę przywiązuje do życia duchowego, do emocji, do życzliwości, do humanizmu wśród ludzi. Fizyczna egzystencja to nikła treść i bolesny ślad po człowieku. Jego praca musi być wpisana i zaakceptowana w przestrzeni duchowej, tak aby towarzyszyła naszej świadomości nawet wtedy, gdy bliska jest nirwany.

* * *

Wielce Szanowna Pani Krystyno!

Ogólnie wiadomo, że aniołowie nie mogą się rozmnażać. Bóg w swojej łaskawości pozwolił jednak poszerzać ich zastępy poprzez uczynki i godne życie wybranych ludzi. Jesteśmy pewni, że Pani jest po tamtej stronie aniołem. Mam do Pani sprawę, Pani Magister. Ale najpierw niech Pani wysłucha o czym myślę. Otóż prof. Mieczysław Gogacz – filozof z Akademii Teologii Katolickiej – załatwił sobie pewną sprawę z archaniołem Michałem, wspomagającym ludzkie uczynki. (Z Panem profesorem rozmawiała Joanna Podgórska, co odnotowała w „Polityce” nr 52 z 27 grudnia 1997). Pan profesor mówił, że aniołowie zajmują się sprawami osobistymi, ale takimi, które są społecznie ważne. – Sam doświadczyłem działania archaniola Michała – mówi Pan profesor - gdy w stanie wojennym miałem kłopoty z wydaniem książki. Byłem trochę zażenowany, bo nie wiedziałem, czy wypada modlić się we własnej sprawie, ale z drugiej strony cóż to dla archaniola szepnąć komu trzeba, żeby podpisał zgodę na druk? Poprosiłem jednego ze swoich uczniów, żeby przedstawił tę sprawę Michałowi i pomógł...

Pani Magister! Ja także w sprawie społecznie ważnej i trochę osobistej. Kwartalnik „Pionierzy” to ważna sprawa. Powtarzam za profesorem... Cóż to dla archaniola szepnąć komu trzeba, aby to wydawnictwo stało się miesięcznikiem. Pani Krystyno. Bardzo proszę, niech to nam Pani załatwi. Niech archanioł Michał naszepcze Przewodniczącemu Miejskiej Rady, Prezydentom i Radnym Zielonej Góry, aby o tym zdecydowali, Pani Magister, bardzo proszę!

PS. W latach 60-tych walczyła Pani, aby fizycznie nie karać dzieci w szkole. Korespondencja do „Faktów i myśli” w tej sprawie jest przejmująca. Teraz biciem dzieci zajął się Sejm Rzeczypospolitej. Tylko jeden parlamentarzysta z Gorzowa ma inne zdanie. Ale Gorzów zawsze... to Pani zresztą wie.

Jan Muszyński



SPOTKANIA Z HISTORIĄ MIASTA

Pięć lat temu włączyłem się do prac Komisji Młodzieżowej działającej przy Sekcji Historycznej Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry. Legitymację członkowską otrzymałem w październiku 1992 r., z czego byłem wielce dumny, jak przystało na piętnastolatka. Pamiętam, że początkowo spotykaliśmy się w ratuszu, nie mając stałego miejsca naszych spotkań. Uzyskaliśmy je dopiero w Sali Wspomnień, która powstała 28 sierpnia 1993 r. Kiedy zjawiłem się tu pierwszy raz, jej wyposażenie było bardzo skromne. Dzisiejszy swój wygląd sala zawdzięcza pionierom, którzy stworzyli w zielonogórskim ratuszu muzeum z prawdziwego zdarzenia.

Wracając do młodzieżowych spotkań muszę stwierdzić, że nam młodym ludziom wiele one dawały. Omawialiśmy na nich najciekawsze szczegóły historii Zielonej Góry, zapoznawaliśmy się z życiorysami naszych gości – Pionierów, słuchaliśmy prelekcji znanych zielonogórskich historyków, m.in. prof. Hieronima Szczegóły, Joachima Benyskiewicza, Władysława Korcza, Jerzego Piotra Majchrzaka.

Wiele ciekawych rzeczy można by jeszcze powiedzieć o czteroletnim okresie mojego członkostwa w Komisji Młodzieżowej,

ale jedno muszę podkreślić: na co jak na co, ale na brak okazji do zawierania przyjaźni, ciekawych zajęć i... konsumpcji wspaniałych ciast i ciasteczek nie mogliśmy nigdy narzekać. Zawsze mogliśmy liczyć na pomoc Pionierów, dlatego chciałbym im podziękować za Ich wkład w rozwój Sekcji Historycznej. Szczególne uznanie należy się pani Marii Gołębiowskiej, która uczestniczyła we wszystkich spotkaniach młodzieżowych i popierała nas we wszystkim.

Nie należę już do Sekcji Historycznej przy Stowarzyszeniu Pionierów, gdyż studiuję w innym mieście. Jednak wszystkich młodych zielonogórczan zachęcam do tego, żeby się przeszli do ratusza, zapisali do grupy młodzieżowej przy Stowarzyszeniu Pionierów i zaczęli bawić się z historią ich własnego miasta – z historią ZIELONEJ GÓRY.

Były członek Sekcji Historycznej przy Stowarzyszeniu Pionierów Zielonej Góry

Leszek KarSKI



PRZYJĘCI DO STOWARZYSZENIA PIONIERÓW

Jolanta Aulich
Adam Poznański
Stanisław Kosicki
Weronika Springer
Czesław Luluk
Irena Maria Sułkowska
Halina Szynkowska Gabrys
Regina Petrow Delega

BENEFIS

11 lutego br. odbył się w Teatrze Lubuskim benefis zasłużonej pionierki, Honorowej Obywatelki Zielonej Góry – Janiny Ertnerowej. Uroczystość uświetniło przedstawienie „Dziadów” wg Adama Mickiewicza w reżyserii A. Orzechowskiego. 52 lata temu Jubilatka wystąpiła na scenie Teatru Miejskiego w sztuce „Prawdziwe oblicze” napisanej wspólnie z Piotrem Klucińskim.



ZMARLI W 1997 ROKU

Genowefa Mazur
Marta Szymaniak
Seweryn Pilarczyk
Stanisław Kaczmarek
Kazimierz Zawadzki
Bolesław Guzowski
Władysława Łaszyńska
Aleksandra Piłat
Marianna Brzuszkiewicz
Regina Burkowska
Marian Łukaszewicz
Michał Mikucki
Jan Usiewicz
Tadeusz Federowicz
Lucjan Kucnerowicz

POWOJENNE HISTORIE ZIELONOGÓRSKICH ULIC

Zielona Góra w ostatnich latach swej przynależności do Niemiec posiadała około 170 ulic. Piszę około, ponieważ występują różnice pomiędzy wykazami, w kilku wypadkach na planach figurują nazwy potocznie stosowane, mimo że księga adresowa już tych ulic nie uwzględnia. System nazewnictwa ukształtował się przez wieki i wyrastał zarówno z przeszłości miasta, jak i niemieckiej tradycji kulturowej, ulegając przekształceniom dyktowanym sytuacjami politycznymi.

Czteromiesięczny okres dwuwładzy radzieckiej komendatury i prowizorycznego magistratu niemieckich komunistów nie pozostawił żadnych śladów zmian nazewniczych, być może tylko ulica SA powróciła w tym czasie do swej dawnej nazwy (Breite Strasse – obecnie W. Sikorskiego). W maju rozpoczął działalność załazek polskiej administracji gospodarczej (ekipa KERM-u), a w czerwcu polski burmistrz stworzył polski magistrat. Nowa administracja stanęła przed olbrzymimi zadaniami a wszystkie były pilne, nie cierpiące zwłoki. Wśród nich było i to, które jest przedmiotem niniejszego opracowania – nadanie polskich nazw w obecnie już polskim mieście, też nie cierpiące zwłoki, lecz nie najpilniejsze wśród pilnych. Zachowane dokumenty nie mówią o podejmowanych w tej sprawie decyzjach, informują natomiast pośrednio, przy innych okazjach, o zaistniałych faktach.

Również wspomnienia o tym okresie jakby pomijały tę kwestię. **Alfons Bogaczyk** – księgarz, organizator pierwszej w Zielonej Górze drukarni – lokalizując wydarzenia używa nazw z roku 1945. Są to dosłowne tłumaczenia nazw niemieckich. Księgarnia, którą założył, mieściła się, według jego relacji, przy ulicy Dolnej Bramy. Przy okazji padło kilka innych nazw, które nie weszły na trwałe do zielonogórskiego nazewnictwa, takich jak „plac Zgody” czy „Rynek Zbożowy”. Pojawia się w tej relacji ciekawa informacja dotycząca ulicy Stefana Żeromskiego: „Pomiędzy pierwszymi pionierami zacząłem nazywać ulicę niegdyś „Dolnej Bramy”, przy której mieszkałem, ulicą Stefana Żeromskiego. Przyjęła się ta nazwa i później ją oficjalnie zatwierdzono”.

Relacja ta dowodzi, że w pierwszych dniach i miesiącach stosowano bezpośrednie tłumaczenia nazw, tzw. „kalki językowe”, sygnalizuje również budzące się wśród nowych mieszkańców odczucie potrzeby ukształtowania systemu nazewnictwa wynikającego z polskiej tradycji kulturowej.

Na wystawie „Zielona Góra – przestrzeń miasta...” celowo zestawilem dwa plany miasta, jeden z ostatnich niemieckich i pierwszy polski. Oba zawierają wykaz ulic. Przestrzeń na obu planach jest ta sama, wykorzystano ten sam podkład geodezyjny, nazewnictwo różne. Dwie epoki: koniec miasta noszącego nazwę Grünberg, początek miasta Zielona Góra.

Polski plan zawiera wszystkie dokonania pierwszego roku. W 1945 roku 167 ulic miasta otrzymało nowe nazwy. W 37% są to tłumaczenia dawnych niemieckich nazw. Nowe nazwy otrzymały przed wszystkim te ulice, które posiadały nazwy personalne. Nie zachowano żadnej nazwy związanej z nazwiskiem osoby, obojętnie jakiej sfery dotyczyła jej działalność. Usunięto, co zrozumiałe, nazwiska kreatorów niemieckiej polityki, co mniej zrozumiałe – twórców kultury (nawet wywodzących się z Zielonej Góry) i, chyba dlatego że nic lub niewiele o nich wiadano, zasłużonych dla kształtowania miasta osobistości.

Nadano 48 ulicom nazwiska postaci historycznych i legendarnych. Historia zaczynała się od czasów legendarnych (ulice Wandy i Krakusa), piastowskich – ulice Piastowska, Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, królów z dynastii Wazów i elekcyjnych, bohaterów powstań narodowych, szereg nazwisk twórców kultury i znalazło się, wprawdzie na peryferiach miasta, miejsce dla popularnej postaci Zagłoby.

Nie ma wśród tych nazwisk postaci kontrowersyjnych. Historia urywa się na okresie powstań narodowych. Nie obejmuje 20-lecia międzywojennego, przemilcza I i II wojnę światową. Nie nadano w 1945 roku żadnej nazwy związanej z postaciami polskiego ruchu robotniczego. Polityczny charakter miały nazwy ulic: 1 Maja, 3 Maja i plac Bohaterów. Akcenty słowiańskie znalazły odzwierciedlenie w nazwach: plac Słowiański, ulice Łużycka i Braniborska. Militarna przeszłość znalazła odbicie w nazwach ulic Ułańska i Artyleryjska. W pozostałych nazwach występowała różnorodność.

Omawiany proces trwał jeszcze przez rok 1946, uzupełniano nazwy peryferyjnych ulic: Folwarczna, Park Winny, obie ulice nie przetrwały najbliższych lat, występują tylko na pierwszym polskim planie miasta, natomiast na trwałe zostały nadane w tym czasie nazwy ulic: Kościuszki, Rajska, Przy Gazonie i Spokojna. Nastąpiły również pierwsze przemianowania o charakterze politycznym, plac Zgody stał się placem Lenina, ulica Niepodległości, ulicą najpierw Marszałka, a następnie Generalissimusa J. Stalina, plac przed dworcem stał się placem Marszałka Roli-Żymierskiego – ta zmiana miała pewne uzasadnienie – M. Rola-Żymierski przebywał w Zielonej Górze i nadano mu honorowe obywatelstwo miasta. W 1946 roku ulica Szpitalna została przemianowana na ulicę

Daszyńskiego, a ulica Szeroka nazwana została ulicą Gen. W. Sikorskiego. Zmiany te były zamknięciem etapu powojennego ukształtowania nazewnictwa ulic zielonogórskich. Nie wprowadzono zmian do istniejącej sieci ulicznej. Wprowadzone nazwy miały charakter trwały. Późniejsze zmiany wynikały przeważnie z przebudowy systemu komunikacyjnego lub rozbudowy miasta. Innego typu zmiany miały charakter incydentalny.

Po utworzeniu Rady Miejskiej wszelkie zmiany i nadawanie nowych nazw dokonywano poprzez podejmowanie stosownej uchwały. W 1947 roku (20 czerwca) podczas sesji Rady Miejskiej jedna z radnych, znana z aktywności, ponieważ podczas każdego posiedzenia występowała albo w imieniu kobiet polskich, albo „ideowo słusznych” katolików, zgłosiła wniosek o przemianowanie ulicy Widok na ulicę Polskiego Czerwonego Krzyża. Uchwałę podjęto, lecz jej nie zrealizowano i ulica Widok jeszcze przez dziewięć lat nosiła swą niebanalną nazwę. W roku 1948 przemianowano ulicę Pionierską na ulicę Generała Karola Świerczewskiego, a ulicę Artyleryjską na ulicę Generała Józefa Bema. Na tej samej sesji podjęto dość kuriozalną uchwałę o przemianowaniu ulicy Zielonej na ulicę Generała Sowińskiego i odwrotnie.

Ulica Sowińskiego dawna Am Schneiderberg została w większości wchłonięta przez rozbudowującą się „Polską Węlinę”, pozostał z niej tylko mały odcinek, przy którym znajdowało się kilka biednych domów. Przestała być godną imienia bohatera narodowego, więc dokonano zmiany.

W roku 1949 otrzymała nazwę dotychczas nieistniejąca ulica Piesza, a 6 grudnia w rocznicę Zjednoczeniowego Zjazdu podjęto uchwałę o przemianowaniu ulicy 3 Maja na ulicę Jedności Robotniczej.

W 1954 roku ul. I. Daszyńskiego została przemianowana na ul. S. Moniuszki. Postać wybitnego działacza niepodległościowego, lidera PPSD i PPS, premiera pierwszego rządu niepodległej Polski, obrońcy parlamentaryzmu, kojarzyła się z tradycją zwalczaną w czasach stalinowskich. Decyzja ta nadal obowiązuje.

Jednym z efektów polskiego października była kolejna uchwała zmieniająca nazwy. Ulica J. Stalina stała się znów aleją Niepodległości, o czym informował komentujący uchwałę dziennikarz miejscowej gazety. Ul. Topolowa została nazwana ul. Westerplatte, według tegoż komentatora ze względu na wzrost jej znaczenia. Dlaczego zmieniono nazwę ul. Widok, nie wyjaśniono.

W latach 60-tych i 70-tych nastąpił proces rozbudowy miasta i przebudowy jego układów komunikacyjnych. Ludność miasta wzrosła 3,5 krotnie, wypełniła się zabudową dotychczasowa przestrzeń zurbanizowana, na otaczających tę strefę terenach zbudowano nowe osiedla. Ilość ulic wzrosła do 400. Nastąpiły liczne zmiany przebiegu ulic. Szereg dotychczas istniejących ulic uległ likwidacji.

Ukształtowały się zasady nadawania nazw. Jednym z tych obyczajów było przenoszenie nazwy ulicy likwidowanej na ulicę powstającą. Przy tworzeniu nowych osiedli starano się nadawać zlokalizowanym na nich ulicom nazwy jednorodne. Unikano zmieniania nazw starych ulic, poza nielicznymi wyjątkami, załatwiając zamówienia rocznicowe i polityczne na terenach nowej zabudowy.

Rozwój miasta spowodował potrzebę nadania nazw określających jego rejony. Przyjęło się nazywanie ich osiedlami.

Początkowo w użyciu była nomenklatura budowlana. W 1969 roku nadano oficjalnie nazwy 8 osiedlom, a w roku 1981 uregulowano tę sprawę całościowo ustanawiając nazwy 14 osiedli.

W latach PRL, przy różnych okazjach, szczególnie rocznicowych, nadano w różnych rejonach miasta wiele nazw będących nazwiskami osób zasłużonych dla PPR, ruchu komunistycznego oraz tzw. „postępowych tradycji”. Te ostatnie wzięłem w cudzysłów, bo zakres tradycji musiał się ograniczać do tej części, którą system akceptował. Nazwiska „słusznych postaci” „zdobiły” główne, reprezentacyjne ulice.

Przełom ustrojowy roku 1989 spowodował zainteresowanie tą kwestią. Najpierw podnieśli ją działacze Komitetów Obywatelskich. Części z nich sprawa wymiany tablic nazewnictwa wydawała się najpilniejszym problemem przemian ustrojowych. W dyskusjach równie wiele było racjonalizmu co demagogii, a stosunek do nazwy ulicy niemal okrzyknięty został miarą patriotyzmu.

Wybory nowej Rady Miejskiej zdominowanej przez radnych Komitetu Obywatelskiego stworzyły warunki polityczne. Powołana komisja przedyskutowała listę „nowoideowości” propozycji. Nie budziły kontrowersji postacie Bie-ruta czy Dzierżyńskiego, ale już sprawa Anieli Krzywoń nie była jednoznaczna: trzeba było zdecydować, czy stała się ona bohaterką niewłaściwego wojska i niesłusznej bitwy, czy nieszczęsną ofiarą tragedii dziejowej. Przyjęto też drugą wersję i nazwa ulicy nie została zmieniona. Karol Marks został potraktowany inaczej, ani humanizm jego dążeń, ani stosunek do sprawy polskiej nie zmieniły przekonania nowych decydentów, że jako pośredni sprawca zbrodni stalinowskich nie jest godny posiadania w Zielonej Górze ulicy. Na trzech sesjach Rady Miejskiej dokonano zmian 24 nazw.

Na czwartym posiedzeniu (21 XII 1990) uchwały poprawiono zmieniając nowo nazwane ulice: Prymasa Wyszyńskiego na Stefana Wyszyńskiego, Generała Okulickiego na Leopolda Okulickiego i Marszałka Rydza Śmigłego na Rydza Śmigłego. Obok spraw poważnych pojawia się czasem i groteska, a taką był incydent z ulicą Kocią.

Gdy Rada dyskutowała projekt uchwały o zmianie nazw 20 uli i jednego osiedla, w trakcie napiętej dyskusji, ktoś (obecnie już kilka osób przyznaje się do autorstwa pomysłu) zgłosił wniosek, powołując się na wolę mieszkańców kilku domów zaliczanych do ulicy Podgórznej, aby nazwać ten teren ulicą Kocią. Głos ludu był argumentem poza wszelką dyskusją. W uchwale znalazły się słowa „Podgórzna od placu Matejki do Bankowej na Kocią”.

Po ogłoszeniu uchwały wpłynął list od mieszkańców tej ulicy, protestowali, nie chcieli mieszkać na Kociej. I tym razem głos ludu został wysłuchany – Uchwała z 9 I 1991 brzmi: „...nazwę „ul. Kocia” anuluje się. Odcinkowi tej ulicy przyległemu do placu Matejki nadaje się także nazwę plac Matejki”.

Z konieczności w wielkim skrócie naszkicowałem bogatą przecież historię zielonogórskich ulic, będącą jednym z aspektów historii obyczajów. I tu się nasuwa uwaga; jednym z naszych niedobrych obyczajów jest brak pamięci o wybitnych współobywatelach. Niewielu z nich dostąpiło zaszczytu upamiętnienia przez nadanie ich nazwiska ulicom miasta.

W minionym roku pisałem na tych łamach o prozie tematycznie związanej z wielkim repatriacyjnym napływem polskiej ludności z kresów wschodnich na obszary ziem zachodnich. Na przykładzie twórczości Zygmunta Trziszki i Stanisława Srokowskiego odkrywałem zarówno walory jak i kłęski tego rodzaju literackich drażeń wielkich powojennych społecznych przeobrażeń. Chociaż tekst ów został niemiłosiernie potraktowany przez korektę, dało się chyba jednak z niego wyczytać, iż dosłowne przeniesienie relacji z tamtego okresu, mające bardziej walor socjologiczny aniżeli literacki, z reguły nie sprzyja powstawaniu dojrzałych artystycznie utworów.

Wokół przesiedleńczych tematów (II) PUŁAPKI REGIONALIZMU

Przeglądając się z dystansu czasowego panoramie prozy nowelistycznej i powieściowej, powstałej na zachodnich kresach kraju i tematycznie z nimi powiązanej, nietrudno odnaleźć i oznaczyć jej liczne słabości i ulotną aktualność, przez co dzisiaj ma ona bardziej znaczenie jako dokument socjologiczny aniżeli wiarygodne świadectwo artystyczne na trwałe wpisane w dorobek polskiej literatury współczesnej. U podstaw owych porażek tkwi coś, co można by nazwać grzechem pierworodnym, a co w rozwinięciu okazuje się wąsko pojętym regionalizmem i kreacją rzeczywistości według z góry założonego planu. A prosto to ujmując, chodzi o teksty pisane na społeczno-polityczne zamówienie, podług wzorca realizującego postawione na wstępie aktu twórczego tezy.

A jakie to były tezy, wszyscy wiemy. Obowiązywała przecież propaganda sukcesu, nie dopuszczająca odsłaniania licznych dramatów i tragedii Polaków, wykorzenionych ze swoich rodzinnych siedlisk i deportowanych na nowe ziemie, świeżo przyłączone do Polski. To nie była tylko „radosna” wycieczka, trwająca miesiącami w bydlęcych wagonach i następnie tulających się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu swojego „Domu nad Odrą” – to był czas gehenny, narastającej nostalgii za opuszczoną ziemią, obyczajami, kulturą i językiem. Za grobami swych przodków wreszcie.

Fascynacja nowymi ziemiami nie była nagłym olśnieniem ani też trudnym do wyobrażenia zachwytem. Czas był tuż powojenny, pełen pułapek i rozterek, gorące były jeszcze zgłoszczona wypalonych domostw a szabrownicy z całej Polski dokonywali reszty spustoszeń. Jeszcze w 1947 roku w Gorzowie straszyły ruiny kamienic, spalonych po przejściu działań frontowych przez wojska sowieckie. Jako młody chłopak oglądałem ten powojenny pejzaż z przerażeniem, tęskniłem za Smorgoniami na Wileńszczyźnie, gdzie spędziłem czas pożogi groźnej i zatrważającej, ale przecież jakby oswojonej znajomością każdego zakątka tego miasteczka, gdzie można było w każdej chwili bezpiecznie się ukryć...

Wiele lat musiało upłynąć, abym mógł poznać i oswoić sobie to moje nowe miasto. I przypuszczam, że tak było z wszystkimi przesiedleńcami z dawnych kresów Rzeczypospolitej. Toteż wszystkie literackie euforyczne opisy, mające stwarzać pozory realizmu, okazały się po latach bardziej lub mniej zmistyfikowane, zwłaszcza gdy chodziło o autorów zdobywających dopiero szlify pisarskie i tworzących tzw. lubuskie środowisko literackie. Więcej tu było reporterskich zapisów, aniżeli autentycznych kreacji artystycznych. Owszem, są w tej grupie pisarze, którzy, jak Halina Auderska czy Henryk Worcell, potrafili przetworzyć ten ważki temat w tworzywo literackie wysokiego lotu, ale jednak w większości pozostali

nie potrafili udźwignąć ciężaru tego tematu. Nawet tak doświadczeni prozaicy jak Eugeniusz Pauksza, zafascynowani kresami zachodnimi, pisał liczne powieści niskiego lotu artystycznego i dzisiaj mało kto o nim pamięta.

Mało kto też pamięta o wczesnej twórczości Zygmunta Trziszki, o powieściach przylegających do tematu zagospodarowywania Ziemi Lubuskiej Andrzeja K. Waśkiewicza „Dom z płaskim dachem” i „Kwartal bohaterów” Zdzisława Morawskiego, żeby wrócić do naszych znajomych ze środkowego Nadodrza. Kurzem pokrywają się ni to powieści, ni reportaże Alfreda Siateckiego i jeszcze wielu innych. Albowiem tam, gdzie pisarze zdołali wyjść poza ciasne opłotki regionalizmu i potrafili przemówić własnym głosem uniwersalizując lokalne wydarzenia, tam osiągnęli warte uwagi sukcesy. Myślę tu o twórczości Ireny Dowgielewicz, Wojciecha Czerniawskiego, Janusza Koniusza czy Zbigniewa Ryndaka.

Pozostałe owe wszystkie opisy wędrówek repatriantów, budowania nowego domu przez przesiedleńców – to wszystko dzisiaj wyblakło, zwietrzało, ujawniły się w całej pełni liczne mielizny i zafałszowania, owa przedstawiana rzeczywistość odsłoniła się jako płaska i jednowymiarowa, opakowana ponadto w sztucznie skonstruowany język będący stopem różnych gwar i narzeczy. Nic więc dziwnego, że dziś ta literatura przeraża swą manierycznością i schematyzmem.

Utrzymana w konwencji realizmu magicznego powieść Stanisława Srokowskiego pt. „Repatrianci” jest bodajże jedynym w naszej literaturze tak doskonałym artystycznie obrazem wędrówki Polaków z jej dawnych wschodnich rubieży. I jest jeszcze przecież tom wspaniałych opowiadań Henryka Worcella pt. „Najtrudniejszy język świata”. Co prawda autor powrócił do kraju z przymusowych robót w Niemczech, ale osiedlił się we Wrocławskim, w Kotlinie Kłodzkiej. We wsi, w której zajął gospodarstwo rolne, mieszkali jeszcze Niemcy. To spotkanie z ludźmi do niedawna butnego narodu zrodziło wiele nieoczekiwanych wydarzeń. I dało pisarzowi ogromne możliwości wykorzystania owego styku, brzemienia w różnorakie doznania i obserwacje. I autor przedwojennych „Zaklętych rewirów” potrafił te okoliczności znakomicie wykorzystać, ukazując na przykładzie swoich bohaterów specyfikę niemieckiej mentalności i jakże trudny proces porozumienia z nowymi właścicielami ich dotychczasowych gospodarstw.

Toteż, gdy jestem pytany o najlepszą książkę prozatorską dotyczącą naszych kresów zachodnich, bez wahania odpowiadam: to proza Henryka Worcella. Czytajcie „Najtrudniejszy język świata”!

Zenon Łukaszewicz



ZIELONOGÓRSKIE MORWY

Były kiedyś pomnikami przyrody

Niestety nie znam klimatu dawnej, powojennej Zielonej Góry, ale domyślam się, że ma w sobie coś niecoś z tych czasów atmosfera ulic Moniuszki (dawniej *Hospital Str.*) i Wiśniowa (niestety tylko fragmenty ulicy ze starymi willami). Spacerując w górę w kierunku ulicy Wiśniowej (dawniej *Maulbeer Allee* i *Marschfeld*) mijamy Winiarnię, a po przejściu przez tory kolejowe (kiedyś prowadziły one aż do Szprotawy) przechodzimy obok przedwojennych domków utopionych w zieleni. Na nasz spacer trzeba się jednak wybrać w dzień wolny od pracy, kiedy jest mało samochodów a zimowe słońce rozleniwia i zachęca do spaceru. Przeglądając się zieleni przy pozostałych tu kilku przedwojennych domach oraz dalej przy zjeździe do II Oddziału PKO, oko przyrodnika wychwyci kilka okazów rosnących tu morw. Są to okazy niezbyt duże w porównaniu do innych gatunków drzew, ale ich wielkość świadczy o tym, że są już dość stare. Jaka jest ich historia? Czy w Zielonej Górze uprawiano dawniej morwę i hodowano jedwabniki? Nasze miasto słynie w świecie raczej z winorośli.

Przeglądając stare dokumenty przedwojenne natrafiłem na ślad zagadki naszych morw. Otóż rosło ich kiedyś więcej wzdłuż ulicy Wiśniowej i były w tamtych czasach uznane za miejskie pomniki przyrody pod numerem 4 w wykazie przedwojennych pomników – „Księżde ochrony przyrody” (*Naturschutzbuch*). Rosło ich tu 56 okazów. Niektórzy niemieccy kronikarze chcą, aby historia tych pomników sięgała aż do czasów Fryderyka Wielkiego, który poza ziemniakami wprowadzał i propagował też jedwabnictwo w Prusach. Drzewa przy ul. Wiśniowej nie są jednak aż tak stare.

W sprawozdaniu Zrzeszenia Rzemiosła i Ogrodnictwa (*Gerwerbe- und Garten-Verein*) przesłanym przez zielonogórski magistrat w dniu 24 grudnia 1836 roku do Rejencji Legnickiej zapisano, że jedwabnictwo w Zielonej Górze było praktykowane w latach 1760-1810. Potem zaprzestano hodowli jedwabników. Zrzeszenie ubolewa w swoim sprawozdaniu, że z 15.000 drzewek pozostało w mieście jedynie 11 okazów. Podjęło ono trud uprawy nowych drzewek morwy i z wcześniejszych nam dokumentów wynika, że takie próby podejmowano przez wiele lat. Czy znajdziemy choćby wzmiankę o naszych starych morwach z ulicy Wiśniowej? Otóż tak! Jeden z członków magistratu (czyli zarządu miasta) zainteresowany odtworzeniem uprawy morwy i hodowli jedwabników zwrócił się (pismem z dnia 13 marca 1838 roku) do magistratu o dostarczenie mu 40 palików drewnianych w związku z 40 morwami, które mają być posadzone na wiosnę na kawałku ziemi przy ulicy Wiśniowej (wtedy były tu sady i ugory) na terenie Zakładu dla Sierot (*Forstersche Waisenanstalt*). Można więc przyjąć, że obecne

morwy mogą pochodzić od drzew posadzonych tu w 1838 roku. Te stare morwy miały obwód pnia ok. 2,5 metra w latach trzydziestych. Ze starego opisu dowiadujemy się, że były całe powyginane i więźlaste, co było spowodowane ciągłym ograbianiem ich z liści w okresie hodowli jedwabników. Nasze współczesne morwy były najprawdopodobniej jedynie częścią bardziej współczesnego żywopłotu lub zdziczałym potomstwem wspomnianych starych drzew. Pozostało jedynie 5 dorodnych okazów o obwodach zbliżonych do 2 m. Czy są one drzewami zasadzonymi w 1838 roku? Stwierdzenie tego wymaga specjalistycznych badań, ale grubość pnia wskazuje, że są one bardzo stare.

Mierzenie ich w pierśnicy nie jest łatwe, gdyż pnie są bardzo nierówne i poskręcane. Ich położenie sugeruje, że ulica Wiśniowa miała kiedyś nieco inny przebieg. Myślę, że warto te 5 drzew pamiętających tak dawne dzieje objąć ponownie ochroną pomnikową oraz poddać pracom konserwatorskim. Są związane z historią gospodarczego rozwoju naszego miasta.

Przechodząc koło morwy mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że jest to gatunek z gór środkowych i zachodnich Chin. Rósł tam w pradawnych czasach i rośnie też tam dziko dzisiaj. Chyba już nigdy nie dowiemy się, kto pierwszy podpatrzył gąsienice jedwabnika żerujące na liściach morwy i wpadł na pomysł wykorzystania cieniotkich nitek zwiniętych w motek kokonu poczwarki do produkcji materiału. Dane historyczne podają, że Chińczycy już trzy tysiące lat przed naszą erą produkowali jedwab na dużą skalę. Produkcja objęta była wielką tajemnicą i cesarz karał śmiercią każdą próbę przemytu jedwabników. Nie ma się co dziwić. Dochody musiały być niezłe. Niemniej jednak już w V wieku naszej ery hodowano jedwabnika w Japonii, dokąd jajeczka tego motyla przewiozła księżniczka chińska (podobno we włosach za uchem) wychodząc za mąż za cesarza Kraju Kwitnącej Wiśni. Próba kradzieży jajeczek jedwabników i nasion morwy powiodła się także na zlecenie cesarza bizantyjskiego Justyniana I w VI wieku naszej ery. Wysłani przez niego do Chin dwaj „braciszkwowie” misjonarze przynieśli do Europy te cenne, żywe skarby w wydrążonych kijach służących jako kostury pielgrzymie. Uprawa morwy i hodowla jedwabników stała się wkrótce popularna w Persji oraz na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Warto pamiętać, że z kory morwy Chińczycy wyrabiali już w IX wieku pierwsze na świecie papierowe banknoty. Donosił o tym prostym i tanim sposobie „produkowania” pieniędzy Marco Polo, po powrocie z wyprawy do Chin w XIII wieku.

W Polsce początki jedwabnictwa datują się dopiero na przełom XVIII i XIX wieku. Jedwab znany był już od dawna, ale uważano, że nasz klimat nie sprzyja morwie i jedwabnikom. Pełną parą ruszyła hodowla po pierwszej wojnie światowej. W Milanówku powstała 1924 roku Centralna Doświadczalna Stacja Jedwabnicza. Okazało się, że to nie klimat wstrzymywał rozwój jedwabnictwa, ale brak podstawowej wiedzy o hodowli. Także po ostatniej wojnie światowej Milanówek był centrum pobudzającym do uprawy morwy i hodowli jedwabników. Polski jedwab z Milanówka stał się znany na świecie i nie ustępuje chińskim czy japońskim wyrobom. Zajmowały się tym nawet szkoły i niektórzy pewnie pamiętają zajęcia z jedwabnikami. Teraz w wyniku zalewu tanich materiałów naturalnych i sztucznych z Dalekiego Wschodu hodowla w Polsce stała się nieopłacalna.

Wracając do drzewa morwy warto wiedzieć, że jego polska nazwa pochodzi od nazwy łacińskiej *Morus*. W XVIII wieku

nazywano morwę drzewem morowym lub morą – właśnie od łacińskiej nazwy. Prosty lud kojarzył tę nazwę z morowym powietrzem i uważano, że przyjmuje ono na siebie niesiony powietrzem mór (zarazę, choroby). Morwa wcześniej zrzuciła liście – więc uznano, że jest to wynikiem jej poświęcenia dla ludzi i zwierząt (czyli gromadzeniu w sobie różnych chorób).

W Zielonej Górze jest kilka miejsc, gdzie znajdziemy krzewy morwy (np. żywopłoty przy niektórych szkołach, Młodzieżowym Ośrodku Ruchu Drogowego). Wiele z nas zna ten krzew, a może bardziej owoce. Mają one charakterystyczny kształt



Niecka Zaborska, obszar geograficznie określony, znajduje się między:

- wzniesieniami nad Przytokiem, Łazem, Zaborem od Miłska, od północy,
- drogą Miłsko-Dąbrowa od wschodu,
- drogą Dąbrowa-Czarna i wzdłuż potoku śmiga do źródła od południa i zachodu.

Administracyjnie należy do gminy w Zaborze. Gospodarką leśną zajmuje się Nadleśnictwo Przytok.

Teren jest ciekawy pod względem ukształtowania, szaty roślinnej, zabytków architektury, zdarzeń historycznych i walorów turystyczno-rekreacyjnych. Prawie całą nieckę pokrywają wzniesienia o różnym kształcie. Występują sięgające do 20 m wysokości wzniesienia, jako pasma z bocznymi odgałęzieniami, gwiaździste pojedyncze kopce i krawędzie z uskokami. Północną część i koło Droszkowa zajmują pola uprawne wykorzystywane do produkcji rolnej, sadowniczej i ogrodniczej oraz łąki z bogatymi i bujnymi trawami. Pozostały teren porastają lasy z młodymi drzewostanami iglastymi na piaskach i glebach lekkich tworząc bór sosnowy, suchy, o skąpym runie. Na glebach żyzniejszych, wilgotnych rosną lasy o urozmaiconym dość bogatym runie. Spotkać można zagajniki i pojedyncze drzewa liściaste (najczęściej obok dróg leśnych lub polnych), jak: brzozę, dąb, buk, klon, akację i inne. Lasy bogate są w grzyby i jagody. Obszar ten, niestety, zaliczony jest do obszarów intensywnego rozwoju gospodarki leśnej, gdzie produkcja drewna jest podstawową funkcją. Pozytywną cechą jest systematyczne zalesianie wyrębów.

W lasach, które nie są ostoją zwierzyny, w niewielkiej populacji żyją zwierzęta większe i mniejsze, m.in. sarny, lisy, zające, wiewiórki. W akwenach występują szczupaki, płocie, leszcze, karasie, itp. oraz liczne ptactwo wodne, jak: bociany, czaple, kaczki. Przez Nieckę Zaborską płyną dwa płytkie i wąskie potoki: Śmiga (Zaborski Potok) i Mielnik. Śmiga wypływa z Płaskowyżu Kisielińskiego spod Nowego Kisielina, płynie przez Nieckę i po pokonaniu 17 km wpada do jeziora Liwno Duże (Zaborowskie). Natomiast Mielnik wypływa z Płaskowyżu, ma 11 km długości i wpada również do Liwna

(jakby owoc składał się z kuleczek) a kolor od białego, brązowego do czerni. Owoce są bogate w witaminę C oraz w cukier. Dojrzałe są bardzo smaczne. Odszukując i konsumując owoce pamiętajmy o długiej i często dramatycznej historii tego gatunku. Warto posadzić fragment żywopłotu wykorzystując ten gatunek i zbierać potem smaczne owoce. A może uda się nam wyhodować przynajmniej kilka okazów jedwabników i prześledzić cykl rozwojowy tego owada pochodzącego z dalekich Chin.

Leszek Jerzak

Dużego. Inne ciekie, mniejsze i krótsze, nie mają większego znaczenia, gdyż w czasie braku opadów wysychają.

Są dwa godne uwagi jeziora: Liwno Duże koło Zaboru i Droszkowskie koło Droszkowa. Liwno Duże o pow. 36 ha jest płytkie, na znacznej przestrzeni zarastające. Od zachodu i południa otaczają je rozległe, podmokłe łąki, dawniej bagna. Znajduje się tu kąpielisko i wypożyczalnia sprzętu pływającego. Jez. Droszkowskie, oddalone o 2 km od Droszkowa, o płaskich brzegach, zanikające, otoczone suchym borem sosnowym. Do końca lat siedemdziesiątych jezioro to i okolice były atrakcyjnym miejscem wypoczynku mieszkańców Zielonej Góry i okolicznych wsi. Wybudowano sanitariaty, szatnie, hangary (na sprzęt pływający), pomosty oraz przygotowano piaszczystą plażę i pole biwakowe. Niestety, brak stałego gospodarza ośrodka doprowadził do dewastacji i obecnie pozostały po nim tylko wspomnienia i ruiny obiektów. Może niedługo zmieni się smutny obraz jeziora i otoczenia. Na początku 1997 r. Urząd Gminy wydzierzał teren prywatnej firmie, która zobowiązała się go zagospodarować. Oby stało się to jak najszybciej. Poza tymi dwoma akwenami rozsiągniętych jest kilkanaście zanikających małych jeziorzek oczek.

Na terenie Niecki Zaborskiej znajdują się cenne obiekty zabytkowe architektury świeckiej, które trzeba obejrzeć:

Pałac w Zaborze, typ wczesnobarokowych rezydencji francuskich, jest jedynym zachowanym tego rodzaju przykładem w siedemnastowiecznej architekturze Śląska. Budowla murowana z cegły, trzykondygnacyjna, założona na rzucie podkowy, z prostokątnym dziedzińcem zamkniętym od strony wjazdu czwartym skrzydłem – parterowym z arkadową galerią i tarasem. Mimo wielokrotnej przebudowy zachował się pierwotny charakter pałacu. W czasie kolejnych remontów do bocznych skrzydeł dostawiono wieże ze schodami prowadzącymi do wnętrza. Wykonano również dekorację plastyczną elewacji wzbogacając architekturę pałacu. Trójkątny fronton fasady otrzymał płasko rzeźbioną dekorację z kartuszem (motyw w kształcie ozdobnej tarczy herbowej). We wnętrzu godną obejrzenia jest sala lustrzana (balowa), wymagająca jednak już remontu. Pozostałe pomieszczenia nie przedstawiają większej wartości. W pałacu od lat sześćdziesiątych mieści się prewatorium dla dzieci. Otoczony jest dobrze zbudowaną fosą (obecnie suchą) o szerokości 15 m i głębokości 3 m. Nad fosą przerzucone są kamienne mosty umożliwiające dostanie się do budynku. Przedpałacowy podwórzec otacza 5 zachowanych z XVIII w. oficyn i budynków gospodarczych. Do rezydencji przylega park przypałacowy (niestety zaniedbany) związany kompozycyjnie z sąsiadującym jeziorem. Rośnie tu starodrzew liczący 250-350 lat, jak: dęby, jesiony, lipy, daglezie, świerki i różnorodne krzewy.

cdn

Jerzy Łatwiński

HISTORIA PIWOWARSTWA NA ŚWIECIE

Do największych rozmiarów doszła konsumpcja piwa za czasów Augusta III. Wtedy nawet dzieciom, które uczono jeść, podawano najpierw papkę przygotowaną z chleba, cukru, masła i piwa, a wszystkim potrzebującym częstego i dobrego posiłku dawano piwo grzane z chlebem, który to posiłek był zresztą w dawnej Polsce codziennym śniadaniem prawie każdego, wyjąwszy panów wychowanych według wzorów francuskich, spożywających, zamiast piwa, wino.

Za czasów saskich, zarówno na dworach królewskich, magnackich jak i szlacheckich, dawano do stołu piwa, ile kto chciał. Niezależnie dworzanie otrzymywali do swoich pokojów po 1-2 garnce piwa dziennie, a pomniejsi panowie i szlachta dostawali piwo w kampanil od obiadu do wieczery oraz od wieczery do poduszki. Za stołem siedziało się tak długo, aż ostatnia kropla piwa została wysączona. Beczka piwa dla dobrej kompanii starczyła zaledwie na 1-2 godzin, czasami dwóch dobrych piwoszów wypróżniało beczkę 50-cio garncową od wieczery do poduszki.

Nic zatem dziwnego, że odpowiednio do takiego zapotrzebowania rozwinął się pięknie przemysł piwowarski, przy czym do najlepszych i najbardziej znanych gatunków piw z tego okresu należały piwa: łowieckie, wachockie, gielniawskie, otwockie, wilanowskie, grodzkie. Szczególnie to ostatnie piwo było znane i pożądane przez wszystkich, a do jego popularności przyczynili się również lekarze zalecając je na pewne choroby oraz jako środek równy wodom mineralnym. Dlatego w Wielkopolsce szlachcic, który nie miał w swoim domu piwa grodzkiego, poczytywany był za skąpca albo mizeraka. Ciężki cios ówczesnemu rozwojowi piwowarstwa polskiego zadało wydane niebacznie w 1775 roku prawo zezwalające każdemu mieszkańcowi najmniejszego nawet miasta czy miasteczka zakładać i prowadzić wszelkiego rodzaju szynki, warzyć piwo i pędzić wódkę. Wprawdzie przedtem wolno było każdemu szlachcicowi czynić to samo u siebie na wsi, ale w miastach był to przywilej nadany przez Zygmunta I w dniu 21.08.1540 roku mistrzom cechu piwowarskiego.

Z chwilą jednak kiedy każdy mieszczanin mógł, nie ponosząc opłat na rzecz miasta, produkować piwo, a szlachta ze swoich wiosek równocze-

śnie zalewała rynek miejski wyrobami swymi, przemysł piwowarski wymknął się z rąk ludzi fachowych, co doprowadziło w roku 1787 do rozwiązania cechu. Ponadto, wobec tego że wyrób piwa i jego wyszynk uważano za zajęcie intratniejsze, rzucano użyteczniejszą pracę rzemieślniczą i wzięto się masowo do produkcji piwa, przy czym nie każdy z tych nowo kreowanych piwowarów odznaczał się potrzebną wiedzą fachową, zaś zdolność konkurencyjną takich piwowarów przejawiała się zazwyczaj w wyrobie coraz tańszych i gorszych gatunków. Doszło do tego, że rynki krajowe zalała lura, którą piło tylko społeczeństwo i biedniejsi, natomiast sfery zamożniejsze konsumowały tylko piwa zagraniczne, masowo sprowadzane nawet z odległej i drogiej Anglii.

O chaosie, jaki wówczas zapanował, przekonać nas mogą również cyfry 86 browarów czynnych w 1796 roku w samej tylko stolicy, niezależnie od produkcji „mieszkańcowej” poszczególnych miast i dowozu przez uboższą szlachtę okoliczną produkowanego przez nich piwa.

Radykalna zmiana nastąpiła dopiero po zajęciu Warszawy przez wojska pruskie i wprowadzeniu opłaty za prawo utrzymywania browarów oraz szynkowni, co umożliwiło warzenie piw lepszych, które pomalutka zaczęły wypierać dawną lurę, a z czasem piwa zagraniczne. Jednak produkcja piwa na większą skalę, przeważnie tak zwanego piwa „bawarskiego”, zaczęła się dopiero za czasów Królestwa Kongresowego. W 1816 roku, na mocy nowej ustawy rzemieślniczej, cech piwowarski wznawia swoją działalność, lecz żywotność swoją przejawiać zaczyna dopiero od 1834 roku. Jednak przeszło 50-cio letni okres cięż-



kiego upadku piwowarstwa w Polsce pozostawił trwałe ślady – nie tylko zmarnowany został cały na tym polu dorobek pracy wytwórczej, lecz, co smutniejsze, pogarszanie się jakościowe i wartościowe tego produktu wpłynęło na poważne zmniejszenie się konsumpcji piwa w Polsce na rzecz innych napojów, czego później nie dało się już naprawić. Do rozwoju przemysłu piwowarskiego w świecie przyczyniły się odkrycia uczonych i różne wynalazki, które w tym okresie postępują stale naprzód.

Opisy pierwszych badań i dociekań istoty samego fermentu znajdujemy w najstarszych działach alchemików wieku XVIII. Unormowanie jednak stosunków fermentacyjnych i pełny tryumf drożdży fermentacji dolnej zauważyć można dopiero w wieku XIX, gdy samo zagadnienie istoty fermentacji zostało należycie rozwiązane przez świat naukowy. Wiedza ścisła i praktyka ustaliły następnie, jakie gatunki drożdży mogą najprawdopodobniej wykonać proces fermentacyjny danej gałęzi przemysłu.

W piwowarstwie to ustalenie posunęło się jeszcze dalej, gdyż zbadano i wypróbowano dokładnie, jakie odmiany drożdży stosować dla piw różnych gatunków, aby otrzymać produkt doskonały. Wiadomości zdobyte zmusiły piwowarów do najskrupulatniejszego przeprowadzenia hodowli tylko pewnej odmiany drożdży, aby po uzyskaniu większej ilości takowych zaprząć je do pracy fabrycznej w celu stworzenia piwa o wyraźnych właściwościach dodatkowych, cechach wymaganych przez spożywcę.

Pierwsze odkrycia słynnego Ludwika Pasteura, tak ważne dla całej chemii i bakteriologii przemysłowej, przynosi nam rok 1887. Chorobom piwa poświęcił Pasteur specjalne badania, rezultatem tych ostatnich były przepisy dla browarów wzywające do walki z bakteriami drogą wprowadzania do browarów najlepszych surowców, przestrzega-

nia podczas produkcji bezwzględnej, wzorowej czystości, wreszcie utrwalenia piwa gotowego przez pasteryzację. Nad samymi drożdżami i ich rozmnażaniem Pasteur mniej się zastanawiał, dziedziną tą zajął się dopiero duński uczony prof. dr Emil Chrystian Hansen. W rezultacie badań uzasadnił konieczność wyprowadzenia z jednej komórki jednej rasy czystej hodowli drożdży. Pierwszy aparat Hansena do czystej hodowli drożdży w zastosowaniu fabrycznym powstaje w Kopenhadze w roku 1885, w latach następnych cokolwiek zmodyfikowane systemem Lindnera, Stockhauseana, Coblitz, Kühlego, Pohl-Bauera i innych.

Zastosowanie podstaw naukowych i teoretycznych w praktyce piwowarskiej wieku XIX rozpoczyna nową erę dla browarów. Praca reformatorka na polu przemysłu fermentacyjnego rozszerza się na cały kulturalny europejski świat zawodowy. Z tą nową erą piwowarstwa wiąże się historia powstania i rozwoju największych w Europie browarów, a państwa i kraje poszczególne prześcigają się w tej mierze wzajemnie. Wynalazkiem angielskim są pierwsze w dziejach techniki maszyny chłodnicze – nowy przewrót w przemyśle piwowarskim, normalizujący racjonalną produkcję. Pierwsze próby wytwarzania lodu i oziębiania lokali browarniczych, stosowały w tym celu zbyt drogi materiał chłodniczy – eter. Po upływie lat od czasu wprowadzenia pierwszych maszyn chłodniczych angielskich zreformował całe chłodnictwo amoniakalny system oziębiający prof. Lindego, który wprowadzono w wielu browarach starego i nowego świata. Pierwsze wytwórnie maszyn piwowarskich powstały również w Anglii, a Anglicy wieku XIX zasłynęli jako najlepsi mechanicy w różnych państwach europejskich.

Słynny czeski uczony prof. Balling wynalazek swój i pracę w obliczaniu ekstraktu w piwie opublikował dopiero w roku 1843, gdy od lat przeszło dwudziestu znano i stosowano w browarach angielskich cukromierze typu miejscowego. W okresie między rokiem 1850 a 1860 obmyślono i zbudowano w Europie szereg słodowni mechanicznych, które jednak w pierwotnej swej konstrukcji nie znalazły w przemyśle piwowarskim szerszego zastosowania. Dopiero inżynierowie francuscy Galand i Saladin przerobili i udoskonalili do tego stopnia istniejące systemy, że od tego czasu słodownie mechaniczne spotyka się we wszystkich większych browarach europejskich.

Na początku wieku XX Szwajcaria staje się terenem prób unowocześnienia piwowarstwa nie tylko swego kraju, ale i przemysłu piwowarskiego całego świata.

(ciąg dalszy nastąpi)

Stanisław Prałat



POTRAWY Z RYB

Makrele

12 filetów z makreli, szklanka piwa, 80 g masła lub margaryny, 30 g maki, mała cebula, łyżeczka pasty pomidorowej, łyżeczka estragonu, sól, pieprz do smaku.

Filety włożyć do rondla na nagrany tłuszcz, dodać drobno pokrojoną cebulę, piwo, sól i pieprz, gotować 15 minut na małym ogniu pod przykryciem. Zdjąć z ognia, wyjąć ostrożnie filety i ułożyć na półmisku. Z maki i masła zrobić zasmażkę, rozprządnąć płynem, aby powstał gęsty sos, dodać pozostałe masło, estragon, sól i pieprz. Zalać sosem filety.

Dorsz w sosie piwnym

1800-2000 g dorsza, 1/3 szklanki jasnego piwa, 1/3 szklanki octu winnego, 250 g masła, 4 cebulki, sól, pieprz, pół pęczka pietruszki.

Stopić łyżeczkę masła, namoczyć w nim pokrojone drobno cebulki, połączyć z piwem i octem, dobrze wymieszać. Dodać pozostałe masło, podgrzać do stopienia (nie dopuścić do zagotowania). Rybę sprawić, pokrajać w kawałki, gotować 10 minut w niewielkiej ilości osolonej wody i na małym ogniu. Po ugotowaniu pozostawić na 15 minut w wywarze. Następnie wyjąć na ogrzany półmisek, polać przygotowanym sosem i posypać bardzo drobno posiekaną natką pietruszki.

Halibut w cieście piwnym po wiedeńsku

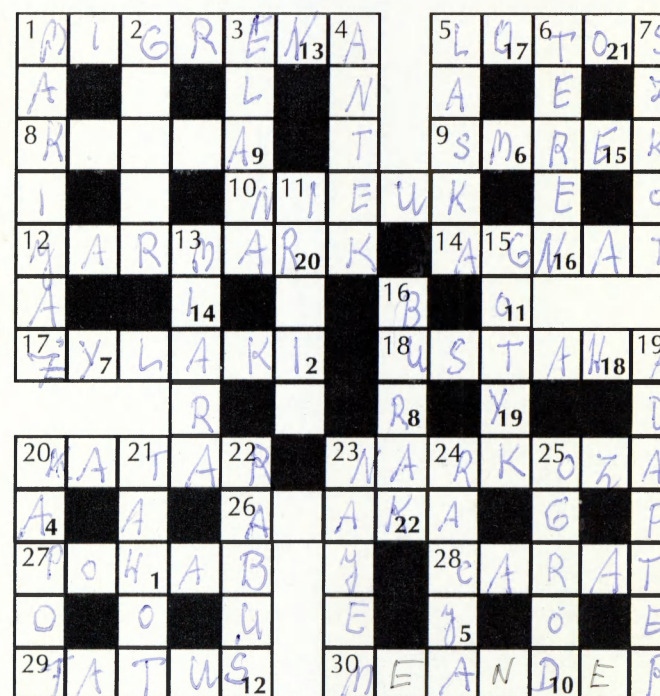
1000 g filetów z halibuta lub karmazyna, 140 g maki, szklanka jasnego piwa, jajko, łyżka oliwy (lub oleju), łyżka soku z cytryny, tłuszcz do smażenia.

Z części maki (120 g), piwa, oliwy i jajka przygotować gęste ciasto naleśnikowe. Filety skropić sokiem z cytryny, posolić oprószyć mąką, zanurzyć w cieście i smażyć w silnie rozgrzanym tłuszczu na złoty kolor. Podawać z ziemniakami piure i sosem tatarskim.

Ciąg dalszy nastąpi.

(Prałat)

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM



POZIOMO:

1. częsty ból głowy; 5. duży wodny kwiat; 8. grubo zmielone ziarno; 9. świerk podhalański; 10. szkolny leń; 12. wielki targ; 14. krewny ze strony ojca; 17. szpeca damskie nogi; 18. akt prawny; 20. choroba w nosie; 23. operacyjny sen; 26. napój z kumysu; 27. urok, czar; 28. ustrój w carskiej Rosji; 25. zdrobniale o ojcu; 30. zakręt koryta rzeczno.

PIONOWO:

1. ozdoba twarzy; 2. odlewnik; 3. materiał z Torunia; 4. tytuł noweli B. Prusa; 5. podpora starca; 6. obszar, okolica; 7. mężczyzna w kraciastej spódnicy; 11. pantera śnieżna; 13. brana u krawca; 15. styl w architekturze; 16. cukrowy lub czerwony; 19. nowszy gramofon; 20. pokrowiec na silnik lub samochód; 21. smar maszynowy; 22. złodziej; 23. dzierzawa; 24. słuszność; 25. teren z altaną i kwiatami.

STANGAR

Litery z ponumerowanych pól w dolnych narożnikach od 1 do 22 utworzą rozwiązanie, które należy przesłać na adres redakcji do dnia 31 marca. Za rozwiązanie tylko hasła redakcja rozlosuje ciekawe upominki.

Za rozwiązanie zagadki i krzyżówek w numerach: 2, 3, 4 postanowiliśmy przyznać nagrody w postaci książek następującym osobom: Paulinie Majorczyk, Justynie Straszko, Małgorzacie Tadrowskiej, Helenie Kaźmierczak, Krzysztofowi Woźniakowi. Nagrody prześlemy pocztą.

DZIEJE JEDNEJ POSESJI



Budynek przy ul. Jedności 5, dawnej Berlinerstrasse należy do najciekawszych obiektów klasycystycznego budownictwa w Zielonej Górze. Zbudowany w 1789 r. przez Jeremiasza Foerster, właściciela manufaktur sukienniczych. Dom stał się siedzibą wielce zasłużonej dla miasta rodziny. Foersterowie gościli w nim wielu znakomitych osób, przyjeżdżających do Zielonej Góry, między innymi generała Lafayette, króla Westfalii Hieronima Bonaparte, marszałek Blücher.

Po wojnie budynek zielonogórzanom kojarzył się z siedzibą Państwowego Biura Notarialnego, a obecnie zgodnie z powojenną tradycją mieści się w nim kancelaria notarialna.

O dziejach budynku pisał w swoich opowieściach o mieście J. P. Majchrzak.